



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1643



DWA LATA W BOJU

ZARZĄD KOŁA I.
Towarzystwa Szkoły Ludowej

Kraków, ul. Jagiellońska 11

30.IX 1914 — 30.IX 1916

*Janusz Pyszkiewicz
Chor. Leg. Pol. 1916*

Nr 155



©/K/53

WYDZIAŁ
KRAJOWY
KRAKÓW

Nr 155.

ZARZĄD KOŁA I.
Towarzystwa Szkoły Ludowej
Kraków, ul. Jagiellońska 11



Pułk. Józef Haller



Pułk. Zygmunt Zieliński



Pułk. Maryan Januszajtis



Podpułk. Henryk Minkiewicz

DWA LATA W BOJU

II-ej Brygady Legionów Polskich

30.IX 1914

30.IX 1916

Mija dwa lata od chwili, gdy pośpiesznie, bo w ciągu trzech tygodni zebraną garść 10 tysięcy ochotników wprost z pola początkowych ćwiczeń z pod Krakowa rzucono jako II-gą Brygadę Legionów Polskich, we wschodnie Karpaty, na jeden z najtrudniejszych terenów walki, gdzie warunkiem zwycięstwa jest, by każdy żołnierz zdolnością i doświadczeniem dorównał dowódcom.

Zaciągnęli się, by Polskę wywalczyć, by z Polski ciemnocę wypędzić. Z bagnetem w rękę do Polski przebijając się musieli. Gdy w ogniu stały rodzinne ich miasta i gdy zdawać się mogło, że nawet królewski Kraków fala najazdu zaleje, oni, z Krakowa wysłani, osłaniać mieli i osłaniali obce siedliska.

Kraj własny goryczą ich poił. Głos pokrzepień dochodził ich rzadko, częściej głos żalu lub gorszego od potępień politowania, a i potępień nie brakło. Za straconych dla Sprawy ich miano. Odcięci od źródła nadziei i wiary, wydani na pastwę najgorszych zwątpień i rosterek duchowych, w najtrudniejszych warunkach, w sobie samych tylko czerpać mieli moc wytrwania.

Wytrwali. Opuszczeni, jak nieraz zdawać się im mogło, od wszystkich, pojęli czy instynktem odczuli swój obowiązek i swoje posłannictwo. Pojęli go prosto i twardo, po żołniersku. Byli jakby wojsk polskich naprzód rzucony patrol, co choć łączność traci, pełni swe zadanie dalej bez trwogi i wahania. W cierpieniach i walce wytrwać mieli, wiary i mocy polskiej dowodzić i przykład dawać. I dokonali tego.

Godni potomkowie tych co z ziemi włoskiej szli do Polski, przedzierali się przez zboża i lasy Karpacie, przejścia swego zostawiając pomniki, a potem na rubieżach Rzeczypospolitej, na Pokuciu i u multańskiej granicy wskrzesili dawno tam przebrzmiałą sławę polskiego oręża, rozślawili po raz drugi sławę Somosiery, rzucili podłoże nowego polsko-węgierskiego przymierza.

Wskrzeszenie typu polskiego żołnierza-obywatela o lwiej odwadze i nigdzie nieznaney brawurze, a jednocześnie spiżowej mocy idei, wiary i wytrwania jest jednym z najdonioślejszych dorobków Legionów Polskich.

Krzepi on zwątpiałych, budzi wiarę w państwową i wojskową przyszłość naszą.

Druga rocznica wyruszenia w pole II-giej Brygady zbiegła się z przekształceniem Legionów Polskich na Polski Korpus Pomocniczy, istotny zawiązek armiji polskiej. Tę zdobycz narodową, zawdzięczamy męstwu i sławie naszych Legionów. Niechaj się ona stanie dla „żelaznej“ Brygady zasłużoną nagrodą jej walk i znojów, punktem wyjścia nowego okresu rozwoju, w który wnosi ona swe piękne tradycje i swój w ogniu wypróbowany hart ducha.

Piotrków, 22 września 1916 r.



WŁADYSŁAW SIKORSKI

Szef Departamentu Wojskowego
Naczelnego Komitetu Narodowego.



Pułk. Józef Haller



Pułk. Zygmunt Zieliński



Pułk. Maryan Januszajtis



Podpułk. Henryk Minkiewicz

DWA LATA W BOJU

II-ej Brygady Legionów Polskich

30.IX 1914

30.IX 1916

Mija dwa lata od chwili, gdy pośpiesznie, bo w ciągu trzech tygodni zebraną garść 10 tysięcy ochotników wprost z pola początkowych ćwiczeń z pod Krakowa rzucono jako II-gą Brygadę Legionów Polskich, we wschodnie Karpaty, na jeden z najtrudniejszych terenów walki, gdzie warunkiem zwycięstwa jest, by każdy żołnierz zdolnością i doświadczeniem dorównał dowódcom.

Zaciągnęli się, by Polskę wywalczyć, by z Polski ciemnicę wypędzić. Z bagnetem w rękę do Polski przebijając się musieli. Gdy w ogniu stały rodzinne ich miasta i gdy zdawać się mogło, że nawet królewski Kraków fala najazdu zaleje, oni, z Krakowa wysłani, osłaniać mieli i osłaniali obce siedliska.

Kraj własny goryczą ich poił. Głos pokrzepień dochodził ich rzadko, częściej głos żalu lub gorszego od potępień politowania, a i potępień nie brakło. Za straconych dla Sprawy ich miano. Odcięci od źródła nadziei i wiary, wydani na pastwę najgorszych zwątpień i rosterek duchowych, w najtrudniejszych warunkach, w sobie samych tylko czerpać mieli moc wytrwania.

Wytrwali. Opuszczeni, jak nieraz zdawać się im mogło, od wszystkich, pojęli czy instynktem odczuli swój obowiązek i swoje posłannictwo. Pojęli go prosto i twardo, po żołniersku. Byli jakby wojsk polskich naprzód rzucony patrol, co choć łączność traci, pełni swe zadanie dalej bez trwogi i wahania. W cierpieniach i walce wytrwać mieli, wiary i mocy polskiej dowodzić i przykład dawać. I dokonali tego.

Godni potomkowie tych co z ziemi włoskiej szli do Polski, przedzierali się przez zbocza i lasy Karpackie, przejścia swego zostawiając pomniki, a potem na rubieżach Rzeczypospolitej, na Pokuciu i u multańskiej granicy wskrzesili dawno tam przebrzmiałą sławę polskiego oręża, rozślawili po raz drugi sławę Somosiery, rzucili podłoże nowego polsko-węgierskiego przymierza.

Wskrzeszenie typu polskiego żołnierza-obywatela o lwiej odwadze i nigdzie nieznanej brawurze, a jednocześnie spiżowej mocy idei, wiary i wytrwania jest jednym z najdonioślejszych dorobków Legionów Polskich.

Krzepi on zwątpiałych, budzi wiarę w państwową i wojskową przyszłość naszą.

Druga rocznica wyruszenia w pole II-giej Brygady zbiegła się z przekształceniem Legionów Polskich na Polski Korpus Pomocniczy, istotny zawiązek armii polskiej. Tę zdobycz narodową, zawdzięczamy męstwu i sławie naszych Legionów. Niechaj się ona stanie dla „żelaznej” Brygady zasłużoną nagrodą jej walk i znojów, punktem wyjścia nowego okresu rozwoju, w który wnosi ona swe piękne tradycje i swój w ogniu wypróbowany hart ducha.

Piotrków, 22 września 1916 r.



WŁADYSŁAW SIKORSKI

Szef Departamentu Wojskowego
Naczelnego Komitetu Narodowego.

CZEGOŚMY CHCIELI ?

Czegośmy chcieli ?

Czy przewrotu, czy ruchawek i powstań, lub rewolucyi ?

Gdyśmy w organizacjach militarnych formalnie kradli każdą chwilę czasu, by wyszkolić, wykształcić i wyćwiczyć kadry wojskowe, z politowaniem spoglądano na nas, z niedowierzaniem, często z pogardą, a nawet spotykaliśmy się z wrażą zaciętością.

Doprawdy droga, którąśmy szli, nie była pokryta różami, lecz zdrowy upór młodej przetrwał.

Wiedzieliśmy, że dobrze chcemy, choć nas nie rozumieją !

A chcieliśmy Państwa polskiego, bo niegodnym naród życia, który do wolności nie dąży. A zatem chcieliśmy, by powstające Państwo nasze miało swą siłę zbrojną, swoje wojsko, swą armię !

Kilka lat pracy w przedwojennych czasach zrobiły swoje, lecz zbyt krótki był ten okres, tak, że z chwilą wybuchu wojny mogły wyruszyć tylko kadry tworzących się wojsk polskich, które nie zdołały porwać za sobą narodu. —

Pomimo to, trwaliśmy wierni swej idei, świadomi celu, jak i odpowiedzialności, jaką za czyn nasz ponosimy.

II Brygada ni białą, ni czerwoną.

Nie klasy, nie partye przewodzić jej miały, ni przewodzą.

Biało-czerwony sztandar : to jedyne godło nasze.

Chcieliśmy tego tylko, by być polskim żołnierzem i dożyć tej chwili, gdy cała Polska za takich nas uzna !

A czyśmy warci Polski, czyśmy dopięli celu ?

Niech świadczą za nas czyny nasze : te setki potyczek, bitew, marszów w znojach i trudach.

JÓZEF HALLER

pułkownik L. P., kmdt. II bryg.



II-ga BRYGADA LEGIONÓW POLSKICH

— „Polskie wojsko!“ —

— Jakież urok tkwi w tych słowach, jaka w nich moc! —

— Toteż młodź chwyciła za oręż, czarem tej siły pociągnięta i okazała światu całemu, że krew w żyłach polskich nie zakrzepła, przeciwnie: raczej silniejszym bije tętnem. —

— Niewolnym nie chcę być więcej, rzekł młody Polak, zrzuć raz jarzmo niewoli—i oto w swych szeregach wojskowych, Legionach, okazała Polska, że żyje, że twórczą siłę i moc posiada. —

— I zagrzmiąta pieśń bojowa po przez polskie łąny i rzeki, góry i lasy: „Dla Ojczyzny i dla sławy“...

— Jak poszły szeregi 1. pułku (I. Brygady), tak szedł pułk 2-gi i 3-ci piechoty, szwadron 2-gi i 3-ci, dawna bateria 1-sza i 2-ga. —

— Wyparłszy najeźdźcą Rosyę z ziemi węgierskiej, przeszły te oddziały szczyty Karpat i wkroczyły na Huculszczyznę, na historyczne ziemie Polski; krwią swą znacząc ślad pochodu, zlewały się te młode wojska w jedną całość, ruchomą bryłę granitowych piersi. —

— I oto na polach Rafajłowej, Pasiecznej, Pniowa i Nadwórnej, na pobojowisku Mołotkowa „stała się“ II. Brygada Legionów polskich — Karpacka Brygada. —

— I choć nieprzychylnie losy dzieliły ją wciąż na grupy i oddziały, to duch w niej był jeden: w czynie moc, w woli niezłomność, w żądaniach i pragnieniach lepsze jutro Ojczyzny, która w powstałym wojsku mieć będzie swą siłę. — Skuła żołnierza II. Brygady idea z przeszłością i przyszłością Polski. Owian nadzieją szedł w bój pod starem hasłem: Bóg i Ojczyzna! —

— Wierząc w Opatrzność, oczekiwał z upragnieniem chwili, w której stanie w wolnej Warszawie: tęsknił żołnierz polski, jako wygnaniec za matką Ojczyzną swą wolną, od której głuche wieści tylko dochodziły w Karpaty. —

— Przeszedł Karpaty, Huculszczyznę, Bukowinę, Pokucie i doszedł na kresy wschodnie: Dzikich pól besarabskich. —

Jak na karpackich szczytach śnili mu się śpiący rycerze, zakłęci w tatrzańskie skały, i orleńskie białe, ulatujące z gniazd skalnych ku polskiemu nizinom, tak teraz, gdy wzrok popłynął przez kresy, dumiał o Sienkiewiczowskich rycerzach: Skrzetuskich, Wołodyjowskich i o wodzach starych: Wiśniowieckim, czy Tarnowskim, zwycięzcy z pod Obertyna i hetmanie Żółkiewskim Stanisławie... I trwali żołnierze II. Brygady niezłomnie w służbie Ojczyzny, jak ongiś hetman na polach Cecory, choć opuszczony przez wszystkich. —

Czyżby i nas teraz opuściła Ojczyzna, nas polskich żołnierzy kresowych? — Nie, ona myśli o nas i czuje z nami, nas potrzebuje, którzyśmy jej zbrojnym ramieniem, lecz wypowiedzieć tego niewładna! —

— Dusza rycerzy polskich, kresowych, Legionistów, tęskni i serce boli, a myśl ulata i duch się burzy, pragnienia i żądania mkną w stronę Polski. Polski, przez którą przeszedł huragan wojny, walk zażartych i zmagani, pożary i zgłoszcza pozostawiając po sobie i mogiły obcych, nieznanym rycerzy. —

— A na dalekich kresach też sypie się mogiły, mogiły polskich żołnierzy, które znaczą granice ziem naszej Ojczyzny. A nad mogiłami rozbrzmiewa pieśń towarzyszy:

„Śpij kolego w ciemnym grobie,
niech się Polska przyśni tobie“...

— Mogiły te stoją teraz na Poleskich i Pińskich błotach, w wołyńskich lasach, mogiły i krzyże. — Śnią w nich już o Polsce żołnierze wszystkich trzech brygad Legionów polskich, co tu ramię przy ramieniu walczyli, dając świadectwo prawdzie, że Polska żyje i wolna być chce. —

— My czekamy, czekamy cierpliwie, aż upomni się Polska o swe wojsko. Nie opłakujemy poległych, bośmy dumni z ich bohaterskiej śmierci, gdyż:

„Kto przeżyje, wolnym będzie;
a kto poległ, wolnym już!“

Żołnierska modlitwa

«Ojcie nasz — któryś jest w niebie» ...
my tu w polu prosim Ciebie
znosząc trudy, walki, boje ...

«Przyjdź Panie królestwo Twoje» ...
a w niem i królestwo nasze
to doczesne — polskie — lasze.

«Święć się Imię Twoje Święte» ...
hasłem w boju — przez nas wzięte.
Śladem Ojców — w Imię Boga
Naprzód wiara! rozbić wroga.

«Powszedniego daj nam chleba» ...
Niech go rodzi polska gleba,
bo my cudzego nie chcemy —
swoim własnym żyć pragniemy;
dawaj nam go wedle woli
a od wrażej chroń niewoli.

«I odpuść nam nasze winy» ...
«Bo my wrogom odpuszczamy» ...
niech tylko z polskiej krainy
precz wyjdą — o to błagamy!

«I nie wódź nas w pokuszenie» ...
obce rozbijać narody,
lecz daj własne zrozumienie,
że nam wszystkim trzeba zgody
do wolności — do swobody.

«Ale nas zbaw ode złego» ...
od despoty i tyrana —
od zdrajców kraju własnego,
niech z nami będzie wygrana.

Amen — amen — stań się... stanie
łaska Twoja wielki Panie —
Niech Ojczyzna zmartwychwstanie!

Ks. WŁADYSŁAW ANTOSZ
kapelan 2 pułku Leg. Pol.

Kronika bitew II-ej Brygady

od 30-IX 1914 do 30-IX 1916

zestawił

por. Dr. BERTOLD MERWIN

1914 Wrzesień

30 Wyjazd II-ej Brygady z Krakowa (2 pp.) i Msza-
ny (3 pp.) na Węgry. Skład ówczesny Brygady: 2 pp.
(pułk. Zieliński), 3 pp. (pułk. Haller), 2 i 3 szwadron
ułanów (rotm. Wąsowicz), 1 i 2 bateria artylerii.

1914 Październik

6 Potyczka pod Kracsfalu.
7 Bitwa pod Maramaros Sziget i oczyszczenie
komitatu z kozactwa.
9 Potyczka pod Bocsko.
10 Potyczka pod Vissovölgy.
11 Początek akcji przez przełęcz Pantyru. Pułk.
Haller przechodzi z Węgier do Galicyi.
12 Bitwa pod Rafajłową.
16 Początek budowy »Drogi Legionów« przez
Pantyru.
19 Bitwa pod Zieloną.
23 Wyparcie Rosyan z Zielonej, pochód na
Pasieczną i Pniów.
24 Zdobyć Nadwórnej.
25—28 Marsz oddziałów pod komendą pułk.
Roi do linii Sołotwina—Bohorodczany—Fitków.

26 Potyczka pod Horocholiną, Cucyłowem.
29 Bitwa pod Mołotkowem.
30 Bitwa pod Pasieczną.

1914 Listopad.

2 III pp. odpiera ataki pod Zieloną.
3 Potyczka pod Pasieczną.
8 Bitwa pod Zieloną, ustalenie linii bojowej,
zaprzestanie dalszych ataków przez Rosyan i pierwsza
walka pozycyjna Legionów.
26 Brygada dzieli się na 2 grupy: grupa Hallera
ma za zadanie trzymanie pozycji pod Zieloną —
grupa Durskiego udaje się na Huculszczyznę w składzie
armii Pflanzera.
28 Marsz grupy Durskiego z Rafajłowej przez Wo-
rochtę do Żabiego.
29 Bitwa pod Jaworowem (dowodzi pułk. Ja-
nuszejtis).

1914 Grudzień

1—5 Bitwa pod Sokołówką, zajęcie Sokołówki.
6 Potyczka pod Krzyworównią, pod Jasieniowem
Górnym, pod Uściem Ryki (grupa Januszejtisa).

7 Potyczka pod Kosmaczem i Jasieniowem Górnym.

8 Przeniesienie grupy Durskiego z Huculszczyzny pod Oekoermeszö.

10 Pułk. Januszajtis atakuje pod Rokamezö nieprzyjacielskie pozycje.

9—11 Bitwa pod Maksymcem grupy Hallera; ustalenie linii między Zieloną a Rafajłową.

14—15 Potyczki grupy pułk. Zielińskiego pod Cuszka i Kispatali.

15—16 Odparcie ataku ros. pod Hołodyszczem przez grupę Hallera i atak własny na Maksymiec.

18 Bitwa grupy Durskiego o górę Kliwę między Oekoermeszö a Visköz.

20—27 Ogólny atak grupy Durskiego pod Oekoermeszö i utrzymanie linii.

1915 Styczeń.

4 Potyczka komp. kap. Tarkowskiego pod Osmołodą.

10 Translokacja grupy Durskiego z przełęczy Oekoermeszkiej w Alpy rodniańskie.

18—22 Przemarsz 2 pp. przez Prislop—Papfalva pod Kirlibabę. Zdobyć Kirlibabę.

23 Atak nocny na grupę Hallera pod Rafajłową. Odparcie ataku.

30 Atak nocny grupy Januszajtisa na Fundul Moldavi.

31 Bitwa pod Maksymcem 3 pp.

1915 Luty.

1 Bitwa pod Maksymcem i Zieloną; atak na ros. pozycje pod Luciną.

2 Zajęcie Briazy przez pułk. Januszajtisa.

2—3 Bitwa pod Porohami.

4 Zajęcie Mołdawy przez grupę Durskiego.

4 Zajęcie Zielonej przez grupę Hallera.

6 Zajęcie Kimpolungu.

8 Marsz na Seletin.

10 Potyczka pod Łopuszną.

11 Potyczka pod Berhometem.

12 Bitwy pod Pasieczną i Pniowem pod komendą pułk. Roji.

14 Potyczka pod Unter Stanestie.

15 Bitwy pod Maniawą, Kryczką, Markową.

16 Bitwa pod Sołotwiną.

17 Bitwa pod Kniażem.

18 Zajęcie Łopusznej i Śniatyna.

19 Bitwa pod Horocholiną. Wzięcie Żurak przez grupę Hallera.

20 Bitwa pod Bohorodczanami.

23 Grupa pułk. Hallera wchodzi do Kołomyi.

24 Bitwa pod Niżniowem; dotarcie do linii Dniestru.

27 Grupa pułk. Hallera udaje się z Kołomyi na front: przez Delatyn do Majdanu.

1915 Marzec.

1. Bitwa grupy Hallera pod Niebytowem; grupa Zielińskiego broni linii od Hanuszowiec do Jezierzan.

5 Zdobyć Tłumacza.

6 Bitwa pod Korolówką.

9 Bitwa pod Bortnikami.

11 Złączenie obu grup Brygady w Kołomyji; Legiony mają wypocząć, lecz równocześnie pełnią

służbę jako obsada przyczółka mostowego. Organizacja Brygady po półrocznych walkach.

1915 Kwiecień.

15 Komenda Legionów udaje się do Królestwa; II Brygada zostaje przeniesiona batalionami na granicę Besarabii. Skład ówczesny Brygady: 2 pp. (pułk. Januszajtis), 3 pp. (ppułk. Minkiewicz), 2 i 3 szwadron (rotm. Wąsowicz i rotm. Brzeziński). 1 i 2 bateria (por. Wojnar i por. Gosiewski), ponadto zakład sanit. (dr. Majewski), pociągi prowiantowe, amunicyjne i t. d.

16—20 Brygada zbiera się w Czerniawce.

20—29 Brygada obejmuje obronę odcinka tuż nad granicą Bukowiny i Besarabii od Dobronowiec po kordon Razdorożnyj.

28 Patrol por. Smorawińskiego rozbija komp. rosyjską.

1915 Maj.

8 Początek ataków ros. na sąsiadujące odcinki.

10 Nieprzyjaciół zmusza sąsiadującą dywizję do odgięcia frontu. Przed własnym frontem względny spokój.

12 Rozkaz komendy korpusu, by ze względów na ogólne położenie rozpocząć odwrót nad Prut.

13 Grupa pułk. Zielińskiego przeprawia się bez przeszkód przez most pod Czerniowcami; grupa pułk. Januszajtisa, mimo silnych ataków kawalerii rosyjsk., częścią mostem, częścią wpraw przeprawia się przez Prut.

14 Zajęcie pozycji od Strileckiego Kutu po Bilę.

14 do 8 czerwca utrzymanie tych pozycji.

1915 Czerwiec.

8 wymarsz Brygady przez Prut pod Hlinicą i Korostowatą.

9 Bitwa pod Mamajestie i Kocmaniem. Zajęcie Łużan.

10 Zdobyć Witelówki.

11 Zdobyć Szubrańca, przełamanie frontu ros. pod Zadobrówką (wzięcie przytem do niewoli 4 oficerów, 500 żołnierzy, zdobycie karab. masz.), zajęcie Sadogóry i Szanzen.

12 Zajęcie Rarańczy. Dojście do lizyery Rokitny.

13 Szarża 3 szwadronu (rotm. Wąsowicz) na Rokitnę.

14 Marsz przez Rokitnę w głąb Besarabii; Brygada zajmuje miejscowości Ryngacz i Dinaucy.

16 Ze względu na ogólne położenie rozkaz cofnięcia linii na granicę Besarabii między Rokitną a Rarańczę.

17 Cztery nocne ataki Rosyan odparte. Kontratak pod komendą pułk. Januszajtisa prowadzi do rozbicia brygady ros., przyczem wzięto do niewoli 7 oficerów, około 1000 żołnierzy i zdobyto 2 kar. masz.

18 Odtąd walka pozycyjna i wytężone prace techniczne nad budową okopów i technicznym umocnieniem.

1915 Lipiec—Sierpień—Wrzesień.

Walki pozycyjne nad granicą besarabską.

1915 Październik.

18 Translokacja Brygady z Bukowiny do Królestwa.

19 Zawagonowanie oddziałów i odjazd przez Lwów, Lublin do Maniewicz.

24—31 Zbiera się i ustawia Brygada w Maniewiczach.

1915 Listopad.

1 O północy rozkaz wymarszu na linię. Grupa Minkiewicza pod Gałuzią; grupa Januszajtisa udaje się nocnym marszem pod Lissowo.

2—4 Bitwa pod Lissowem.

4 Atak grupy pułk. Minkiewicza na Kostiuchnowkę; śmierć kap. Tarkowskiego, por. Łyska, chor. Konstantego Majewskiego; zbliżenie się do linii ros. na 400 kroków.

5 Dalszy ciąg ataku na Kostiuchnowkę.

7 Wtargnięcie Rosyan pod Bieligów i Hutę Lisowską; kontratak pułk. Januszajtisa; wypędzenie nieprzyjaciela.

Równocześnie zmaganie się Legionów nad Styrem.

7—14 Sforsowanie przez Legiony linii Styru; zdobycie Kostiuchnowki; wypędzenie nieprzyjaciela poza rzekę; ustalenie linii własnej.

14 Odtąd walka pozycyjna nad Styrem.

1915 Grudzień.

Walka pozycyjna nad Styrem.

1916 Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień.

II Brygada umacnia pozycje pod Kostiuchnowką; buduje redutę (potem zwaną redutą Piłsudskiego), odpiera częste ataki na redutę i próby wdarcia się nieprzyjaciela. Zresztą walka pozycyjna.

1916 Maj.

1 Przeniesienie Brygady z linii w stan rezerwy; odcinek Brygady obsadzają oddziały I-ej Brygady; oba pułki II-ej Brygady udają się jako rezerwa korpusu do Karasina.

1916 Czerwiec.

7 Na front legionowy wywiera nieprzyjaciel nacisk. Brygada rusza do Gałuzi, by w danej chwili wesprzeć front.

8—11 Potyczki pod Wólką Gałuzińską, odparcie ataków nieprz. przez pułk. Januszajtisa; grupa pułk. Minkiewicza zadyrgowana do Lissowa celem umocnienia linii.

16 Batalion 3 p.p. pod komendą kap. Szczepana wysłany pod Tuman i tam przez pięć dni walczy z przewagą.

19 Marsz 2 p.p. pod komendą pułk. Januszajtisa pod Gruziatyn.

20—21 Walka pod Gruziatynem, kontratak pułk. Januszajtisa, wzięcie kilkuset jeńców i zdobycie karab. maszyn.; pułk. Januszajtis ranny.

1916 Lipiec.

5 Bitwa pod Kołodnią. 3 p.p. odpiera atak na «Górę polską», kontratakiem zajmuje «Górę». Równocześnie 2 p.p. pod Wólką Gałuzińską odpiera ataki.

6 Komenda Brygady przy pomocy Bawarów i ułanów trzyma linię Wołczeck; przełamanie linii; odwrót; ppułk. Minkiewicz pod Studenicą do ostatniej chwili broni pozycji; baon 3 p.p. pod kap. Szczepanem stanowi ochronę stacyi Maniewiczze.

7 Marsz przez Okońsk do Trojanówki. Osłona odwrotu przez kap. Szczepana. 2 p.p. cofa się z Gałuzi przez Nową Rudę.

8 Zajęcie pozycji nad Stochodem.

10 Legiony ściągają się do Czeremoszny.

14 Pułk. Haller obejmuje komendę II Brygady.

16 Wymarsz z Czeremoszna na linię pod kolumną Dubniaki.

29 Marsz przez Mielnicę do Wielicka. Tu przez noc osłona odwrotu.

1916 Sierpień.

3 Kontratak na Rudkę Miryńską.

4 Zajęcie pozycji na linii Stochodu. Odtąd walka pozycyjna.

1916 Wrzesień.

Walka pozycyjna. Techniczne wydoskonalenie pozycji nad Stochodem.

Z dziejów organizacji II-ej Brygady

Dzisiejsza II-a Brygada L. P. dość znacznie różni się od tej, która przed dwoma laty wyszła z Krakowa. Materiał ludzki wprowadzony pozostał przeważnie ten sam, lecz pod względem ugrupowania i organizacji zaszły przez dwa lata zmiany.

W chwili—gdy we wrześniu 1914 r. otrzymała Brygada rozkaz wymarszu—była ona dopiero w trakcie tworzenia się, formowania; ogólne też było mniemanie, że wyjeżdża na Węgry celem dalszego szkolenia się. Tymczasem było przeciwnie. Oddziały ledwo na Węgrzech wysiadły z wagonów kolejowych, ledwo otrzymały karabiny — z którymi się jeszcze należało nie miały czasu ani sposobności zapoznać, już szły w ogień. Zawagonowane 30 września, już 6 października stoczyły pierwsze potyczki pod Kracsfału, następnego dnia pod Marmaros Siget. A za temi

pierwszemi starciami poszły już niemal codzienne dalsze walki—wśród których nie czas było myśleć o przeprowadzeniu do porządku rozmaitych mankamentów tej młodej formacji. W dodatku z początku rodzaj walki wymagał rozdrobnienia sił na znacznej przyszytści, a gdy później, po oczyszczeniu Komitatu marmaroskiego, wszystkie luźne walczące oddziały zostały zjednoczone celem przeprowadzenia ofensywy na Nadwórnę—zmasowanie wszystkich sił legionowych nie trwało długo, gdyż w czasie walk defensywnych pod Zieloną—dnia 26 listopada 1914 r. nastąpił podział II-ej Brygady na dwie części.

Gdy z Krakowa wyruszała II-ga Brygada—liczyła dwa pułki piechoty—drugi pod komendą pułkownika Zielińskiego i trzeci—dowodzony przez podówczas kapitana Hallera,—każdy po 4 pełne bataliony, dwa

szwadrony jazdy—drugi i trzeci, dywizyon artylerii, złożony z trzech baterii, tudzież odpowiednia ilość trenu. Owóż 26 listopada pozostał ppłk. Haller w Zielonej, mając do swej dyspozycji pierwszy i trzeci batalion swego pułku, czwarty batalion pułku drugiego, plutony kawalerii i jedną baterię. Reszta pod komendą eksc. Durskiego wyruszyła na Huculszczyznę — następnie prowadziła ofensywę w obszarze Ökörmezö, w końcu zaś wspaniałym pochodem od Kirlibaby na Bukowinę aż po Tłumacz, oczyściła znaczną część Bukowiny i południowo-wschodniej Galicji od nieprzyjaciela. Marsz ten jednakże, aczkolwiek takim świetnym uwieńczony sukcesem, drogo był okupiony. Stan bojowy ogromnie ucierpiał nie tyle z powodu ustawicznych walk, w rannych i zabitych—ile raczej w chorych na skutek nadwyznacznych trudów marszowych i bardzo ostrej pory roku. Do tego też wreszcie doszło, że z 5-u batalionów pozostało na pozycjach w Bortnikach 14 marca 1915, ledwo 13 oficerów i 120 piechoty, a 5 oficerów i 27 ludzi z jazdy, reszta byli to przeważnie chorzy, których się odsyłało do Kołomyi.

Wobec takiego stanu rzeczy dzięki staraniom Komendy Legionów i wskutek odpowiedniego raportu, komendanta tych resztek, ówczesnego majora Januszajtisa, oddziały legionowe otrzymały tak zasłużony odpoczynek, od 16 marca, a na jego miejsce przeznaczono Kołomyję.

Z odpoczynkiem tym połączoną też była reorganizacja zebranych tam sił legionowych—ważna dla losów dalszych tej brygady — gdyż forma i podział jej wówczas nadane przetrwały z małemi zmianami aż do dnia dzisiejszego.

Komendant Legionów ekscelencya Durski, wyjeżdżając na urlop, powierzył w dniu 16 marca 1915 r. wszystkie sprawy odnoszące się do reorganizacji brygady pułkownikowi Hallerowi—który również w tym czasie ze swymi oddziałami z Zielonej do Kołomyi na wypoczynek przybył.

Dnia 18 marca utworzył pułkownik Haller trzy grupy ze zgromadzonych w Kołomyi oddziałów. Grupa pułk. Hallera obejmowała bataliony 1, 3 i 4 pułku trzeciego, grupa ówczesnego majora Roi stanowiły batalion 2 i 4 pułku drugiego i drugi pułku trzeciego. W skład grupy zaś ówczesnego majora Januszajtisa wchodziły bataliony pierwszy i trzeci pułku drugiego i świeżo utworzony batalion marszowy, (t. zw. I/VI). Ponadto samodzielną jednostkę stanowił również świeżo utworzony baon uzupełniający, który był przeznaczony do uzupełnienia obecnych i później utworzyć się mających batalionów.

Równocześnie został w następujący sposób określony stan liczebny i skład reorganizujących się batalionów: Każdy batalion miał się składać z 600 ludzi, sformowanych w 3 kompanie, każda po 4 plutony, liczące po 40 legionistów stanu bojowego. Czwarta kompania każdego batalionu pozostawała na razie jako jego kadra.

Pierwszy na tę modłę utworzony został batalion dnia 25 marca 1915 r. Składał się on z dawniejszych rozmaitych batalionów trzeciego pułku; i tak pierwszy batalion tego pułku dał 180 ludzi, drugi—103, czwarty — 11, drugi — 116, ponadto zaś batalion marszowy dostarczył 85 ludzi. Komendę nad nim

objął porucznik Szczepan, oficjalną nazwę otrzymał batalionu marszowego Nr. 2, wyruszył zaś z Kołomyi dnia 28 marca i udał się na Bukowinę, celem obśadzenia pasa granicznego na Besarabii, koło Toporowiec.

W dniu jego wymarszu został utworzony nowy batalion. Rdzeń jego stanowiło 200 ludzi z 4-go batalionu pułku drugiego, ponadto zaś w skład jego weszli ludzie zdolni do marszu, wybrani z batalionu drugiego tegoż pułku, drugiego pułku trzeciego i kompanii rekruckiej. Komendę nad tym oddziałem objął por. Kaufer, który na jego czele wyruszył 30 marca, również na granicę besarabską, gdzie zajął zrazu pozycję koło Dobronowiec. Potem przesuwany był kolejno do Bałamutówki, do Gromesztii, by w końcu znowu wrócić do Dobronowiec.

Tymczasem już 1 kwietnia na skutek rozkazu komendy przyczółka mostowego w Kołomyi op. nr. 236 zarządziła Komenda Legionów formowanie 3-go batalionu. Batalion ten miał zestawzić major Lauenhardt z pierwszego baonu i części III-go batalionu 2 pp., który w sam dzień Wielkiejnocy 4 kwietnia wyruszył pod komendą por. Stożka na Besarabię i zajął stanowisko obok batalionów poprzednio już wysłanych.

Organizacją dalszych batalionów zajął się generał-major Zaleski, który 3 kwietnia objął komendę Legionów. Z jego rozkazu utworzony został wkrótce drugi batalion marszowy 3 p.p., — 11 zaś kwietnia polecił w obu pułkach utworzyć jeszcze po jednym batalionie marszowym, które miały być gotowe do wyjazdu na 13 t. m. Również nakazana została formacja trzech oddziałów karabinów maszynowych, 2-u oddziałów pionierów i sztabów pułkowych. Wszystkie te oddziały opuściły Kołomyję dnia 15 kwietnia i skierowane zostały, jak i poprzednie, na Bukowinę, gdzie zajęły stanowiska w Czerniawce i Dobronowcach.

Reszta ludzi, która nie weszła w skład batalionów marszowych, odjechała tegoż samego dnia jako batalion uzupełniający do Piotrkowa, dokąd też przeniosła się Komenda Legionów, wraz ze szkołą podchorążych oraz kadrami kawalerii i artylerii.

Zaraz za przybyciem do Czerniawki 16 kwietnia jen. Zaleski zarządził sformowanie z tych, luźnie wysyłanych batalionów stałych dwu pułków. Bataliony więc nakazano nazwać cyframi porządkowymi (3 na każdy pułk), każdy pułk otrzymał dwa oddziały karabinów maszynowych. Komendę pułku drugiego objął ppłk. Januszajtis, trzeciego major Minkiewicz. Komendantami batalionów w pułku drugim byli: por. Stożek, por. Kaufer i por. Trojanowski — pułku zaś trzeciego kapitan Zaleski, porucz. Szczepan i porucz. Zajac.

Dodać należy, że kawaleria i artyleria przez cały ten czas żadnym nie ulegała zmianom.

Tak się przedstawia zasadniczy zrzęb organizacji II-ej Brygady, który do dziś przetrwał bez ważniejszych zmian. Zmieniali się coprawda komendanci tej Brygady — i tak generał-major Zaleski ustąpił z zajmowanego stanowiska już 18 kwietnia, po nim przez kilka dni komenderował zastępczo gen.-major Weiss, do nominacji, dnia 23 kwietnia 1915 r., na komendanta Brygady pułkownika Küttnera, którego znowu zastąpił pułk. Haller, zamianowany 13 lipca 1916 r.

W komendach pułków zaszła zmiana tylko odnośnie do pułku trzeciego, gdzie po niedawnych bojach w miejsce pułkownika Minkiewicza przyszedł kap. Szczepan. Natomiast dużym fluktuacyom ulegały komendy poszczególnych batalionów, co wszystko wszakże

w niczem zasadniczo nie zmieniło nadanej w Kołomyi formacji tej brygady — a czyny jej dowodnie stwierdzają, że ci, którzy obecnie walczą nad Stochodem, są tymi samymi, którzy wprzód staczali walki na Besarabii i jeszczej pierwej w Karpatach.

Bronisław Pawłowski
chorąży

Pieśń o trzecim pułku

ppułk. Henrykowi Minkiewiczowi

Szumi cicho letni wietrzyk w Hlinickiej alei...
Maszeruje w bój pułk trzeci w słonecznej zawiei.
Słońce wzięło go w ramiona, kwiat mu do stóp ściela,
wiedzie—niby oblubieńca druchny na wesele,
lśni i płonie na bagnetów wyostrzonej stali,
w oczy patrzy żołnierzykom, twarz rumieńcem pali,
zlewa cały szlak gościńca złocistą zawieją,
a wiatr letni szumi cicho Hlinicką aleją...

Na koniku jedzie Major w zadumie głębokiej...
Koń się pod nim niepokoi i wyrzywa w skoki,
rwie i sierdzi się kasztanek... wyrzuca kark gniewny,
jakby czuł już niedaleki, głuchy zgiełk bitewny.
Duma Major... Głowę skłonił... Widać z mrocznej twarzy,
plan jakowyś snuje nowy, zamysł twardy waży...
Koń się pod nim niepokoi i wyrzywa w skoki...
Jedzie Major na koniku w zadumie głębokiej.

Biją serca żołnierzyków pod mundurem siwym,
myśli wiążą się żołnierskie serdecznem przedziwem...
»Hej, Majorze,—gdzież nas wiesziesz?... Węć znów
[w obce szlaki...

Węć my wiecznie chodzić mamy jak wędrownie ptaki...
jak pątnicy obcą ziemią—bezdolni tułacze...
Tak się skarga w duszy szarpie, tak tęsknota płacze...
Hej Majorze... gdzież nas wiesziesz?...

Serdecznem przedziwem
myśl się wiąże... biją serca pod mundurem siwym...

Duma Major na kasztanku: Hej—moi żołnierze—
innem w snach swych ja zawierał ze sławą przymierze,
innem śnił ja z wami boje... Ku Wiślanej wstędze
odrodzony chciałem z wami nieść Sen o potędze,
Sen o Sławie — Szlakiem starym w owe cudne ziemie,
kędy w grobach przepomnianych Wielkość nasza
[drzemie.

Z ową Mocą, w ziemi śpiącą—zawierać przymierze...
Ale Rozkaz... Rozkaz—Słowo... Słuchać trza żołnierze...

Już przed nimi jasna wstęga płonie oto w dali,—
słychać szmery ciche rzeczne, gędźbę cudną fali...
Już ich wita Prutu fala... szepce do nich z bliska,
coś wspomina, gędzi, baje—lśni, mieni się, błyska—
do stóp biegnie—to znów znagła—niby nadąsana—
wdal ucieka—a u brzegu jeno gniewna piana—
zaś szept słychać i witanie radosne już z dala...
Tak ich wita rzeka gniewna—lśniącą Prutu fala...

Szemrzą wiatrem kołysane nadpruciańskie łany:
— »Szli i tędy przed wiekami już Polski hetmany...
Wiedli z sobą w błonia nasze—het, za Prutu wstęgę
huf skrzydlaty, sen o sławie i zwycięstw potęgę...
— myli w Prutu jasnej fali rany swe i blizny...
I tu znajdziesz—jasny Wodzu—Wielkość swej Ojczy-
[zny—

Jej Świetności przepomniane grobowce—kurhany«...
— Szemrzą wiatrem kołysane nadpruciańskie łany.

Kąpie Major myśli swoje w jasnych blaskach słońca:
— »Trza wytrzymać wszystkie próby—żołnierze—do
[końca!

By się ziścił sen, co żarem tęsknot duszę pali,
trzeba twardym być żołnierze, jak posąg ze stali...
Siła z duszy, siła z serca dać trzeba w ofierze,
siła bólów przeogromnych przeboleć żołnierze,
siła cierpieć, siła kochać—by wytrwać do końca!«...
— Kąpie Major myśli swoje w jasnych blaskach słońca.
...Przeszli Prut już... w błonia weszli—już zniknęli
[w trawie...

W bój pułk trzeci idzie ziszczać dziadów sny o sławie...



Komenda II-ej Brygady



Grupa oficerów 2-go pp.

Pułkownik Z. Zieliński

(sylwetka)

Mołotkowskie pole...

Sytuacja jest już beznadziejna... W pojętliwym świcie kul, w syku pękających szrapneli, w huku tryumfalnym rosyjskich baterii zarysowuje się już zupełnie wyraźnie w świadomości legionisty obraz klęski...

W tej chwili do piszącego meldunek pułkownika Zielińskiego doskakuje oficer ordynansowy. Salutuje. Mówi szybko, nerwowo:

— „Panie pułkowniku, proszę mię objaśnić, gdzie spotkam pana Kozickiego“.

— „Nie znam żadnego pana Kozickiego“... pada z ust pułkownika spokojna odpowiedź.

Oficer niemieje ze zdumienia.

— „A może pan pytasz o pana kapitana Kozickiego?“...

— „Tak jest — panie pułkowniku“...

— „Kapitan Kozicki jest tam — pod drzewami“...

Kiedy przypomniano niedawno pułkownikowi ten epizod, pułkownik uśmiechnął się łagodnie.

— „Wy się mnie nie dziwcie... To nie formalistyka — to jest ścisłość, bez której nie masz rozkazu“.

Tak — pułkownik Zieliński jest ścisły. Każdy meldunek jaki przyjmuje — musi być do najdrobniejszego szczegółu dokładny, — każdy rozkaz — jaki wydaje — musi być jasny, zrozumiały i ścisły.

Jest alarm — to żołnierz musi stać frontem do nieprzyjaciela i patrzeć w tym a nie innym kierunku...

„Psst!... psst!...“ idzie z ust do ust okopem... „Dziadek idzie!“

Idzie pułkownik rowem strzeleckim w szarym płaszczu gumowym z laseczką w ręku...

Rekrut, który siła już słyszał opowieści o groźnym pułkowniku, walczy z sobą...

Spojrzyć — nie spojrzeć...

Wreszcie spogląda rozwartymi niebieskimi oczyma w jasną twarz swego pułkownika.

Zieliński staje... wspiera się oburącz na lasce.

— „Gdzie jest nieprzyjaciół?“

— „Tam — panie pułkowniku“ — niepewnie mówi rekrut.

— „No to patrz tam! Mnie się przyjrzyj potem“...

Znowu jedna opowieść przybyła do dawnej wiązanki.

Stary żołnierz — z krwi i kości — wychowany w twardej szkole żołnierskiej — siła musiał się nazrędzić, nagadać, by patrzeć spokojnie na bądź co bądź nierówne szeregi legionowe...

Mimo to — wytrwał...

Ba — związał się z tym żołnierzem drobnym, słabym, na śmierć i życie na krwawym polu Mołotkowskim, w zaśnieżonych górach Ökormeskich, w mrocznych lasach bukowińskich i szumiącym pustkowiu Besarabii.

Pokochał żołnierza i dał się pokochać — bo pod maską groźną kryje się twarz jasna i łagodna, — pod mundurem szarym bije serce gorące, proste, — w siwych oczach szczera dusza polska się przegląda...

I jeszcze coś jest w pułkowniku naszym, co specjalnie pociąga i wiąże... Coś romantycznego, coś ogromnie swojskiego i polskiego, coś z tego nieprzepomnianego typu legionisty — wodza, który najwięcej, najsilniej za serce chwyta...

To też dokoła Jego postaci plecie się legiendarnej drugiej brygady, z szarych tęsknot tkana, krwi rubinamiznaczona...

Snują się po okopach opowieści mnogie o pułkowniku — tatku, o pułkowniku — dziadku, a w każdej z nich jest ta niewidzialna pozornie, a mocna ogromnie nić sympatii szczerzej, wiążącej duszę żołnierza z jasną duszą pułkownika...

Wszedł do tej legendy w szarym płaszczu gumowym, z laską w ręku, z sercem gorącym w piersi, duszą ogromnie polską w oczach siwych — zaś z marsem okrutnym na twarzy i formułą suchą na ustach...

Takim przetrwa w pamięci drugiej brygady.

Piechur

(piechocie 2 p. Leg. Pol.)

Wielkie nazwiska i wielkie imiona
Utrwali pamięć w księgach i marmurze,
Lecz twoje imię w zapomnieniu skona,
Szary piechurze.

Że ukochałeś żołnierską swobodę,
Żeś sławę swoją dźwigał w ran purpurze,
lichą mogiłę zdobędziesz w nagrodę,
Szary piechurze.

Loty szalone, farysowe śniłeś,
Z uśmiechem idąc przez ogień i burze.
Gdzie walka wrzała—tam ty wszędzie byłeś,
Szary piechurze.

A nad grobami poległych wykwitną
Jak krew czerwone—dzikie, polne róże,
Chabry je wstęgą owina błękitną,
Szary piechurze.

W kurhanach ścichnie twoja dola krwawa,
Krzyże się na nich rozsiądą jak stróże
I jeno w pieśni żyć będzie twa sława,
Szary piechurze.

Inne twe laury i inna twa sława,
Trwalsza nad zgłoski wryte w marmurze,
Bo Polska w czynach twoich zmartwychwstała,
Szary piechurze!

Wołyń 1-IV. 1916.

Rajmund Bergel
sierżant

Szkoła podoficerska II-ej Brygady na froncie

W Polsce zapomniano o »stanie trzecim«, w Legionach pomija się stan podoficerski—ów stan trzeci wojska. Pisze się o oficerach, o »relutonach«, ale nikt nie interesuje się typem naszego podoficera. A przecież jak doniosłą rolę w życiu społeczeństw odgrywa ów stan trzeci, taką w wojsku stan podoficerski. O jego znaczeniu pod względem wojskowym mówić nie trzeba. Wie każdy oficer jak trudne jest rozkazodawstwo, jak trudne warunki pracy, jeżeli niema dobrych podoficerów. Charakter jednak ochotniczego wojska z natury rzeczy na początku mało uwzględniał podoficera, który jest wytworem armii regularnych. A przeto oficerów dały Szkoły Związków i Drużyn Strzeleckich—podoficerowie mieli się stworzyć podczas wojny.

Z biegiem czasu z ochotniczych, improwizowanych formacji staliśmy się wojskiem, co w dalszej konsekwencji musiało spowodować wysunięcie typu podoficera, a jako zadanie przyszłości zmuszało do prac nad jego wykształceniem wojskowym. Prócz dorywczych prac w tym kierunku, prowadzonych w poszczególnych batalionach i pułkach, wykorzystano czas walki pozycyjnej na Polesiu, stwarzając szkołę podoficerską II-ej Brygady na froncie, o określonym ściśle programie i ramach organizacyjnych. Zadaniem szkoły było, opierając się na dwuletniem prawie doświadczeniu wojennem żołnierza, na jego praktyce, dać mu pewną niezbędną podstawę teoretyczną, najważniejsze wiadomości z wiedzy wojskowej.

Szkoła mieściła się przy Komendzie II-ej Brygady we wsi Wołczek i trwała od 10 marca do 10 kwietnia 1916 r.

Przedmiotami nauki były: regulamin służby wewnętrznej, polowej, musztra, terenoznawstwo i czytanie map, nauka o broni, zaprowiantowanie, prowadzenie kancelaryi kompanijnej, telefon.

Wykładali w szkole: ppor. Brożek, ppor. Rudka, ppor. Górka, ppor. Iwanowski, por. Niemczynowski, chor. Kara, chor. Dunaj.

Czas nauki szybko minął, pozostawiając nam w pamięci te długie zimowe wieczory, gdyśmy czasem w toku wykładu gwarzyli z uczniami. »A kto da przykład na to z ubiegłych kampanii«, »a co zrobiłbyście, gdyby wam dano taki a taki rozkaz«—i t. p. Odpowiedzi trafne, oparte na własnem doświadczeniu. Interesowało ich bardzo tłumaczenie z szerszego punktu widzenia, pewnych faktów, bitw, ruchów, wspólnie odbytych. To ostatnie—ta wspólność pewna przeżyć, było fluidem, który na wykładzie łączył nauczycieli z uczniem; razem byliśmy tam, patrzyliśmy na to — — —

Pamiętam kiedyś w pogodne popołudnie Moskałe ostrzeliwali wioskę. Szkoła była na ćwiczeniach za wsią — w domu został tylko inspekcyjny. Pada granat w chałupę szkoły! Idziemy myśląc, że zastaniemy może trupa. Konstatujemy, że granat przebił dach, wpadł do sieni i tu wybuchł. Ale gdzie inspekcyjny? Po poszukiwaniach znajdujemy go śpiącego na pryczy w izbie — spał sobie dalej, jak gdyby nic się nie stało! Tylko go trochę obsypało!

Zakończenie kursu odbyło się 10 kwietnia. Po rozdaniu świadectw przemówił pułk. Januszajtis, wskazując elewom korzyści, jakie odnieśli w szkole i zadania, jakie ich czekają. Pożegnanie—i uczniowie wrócili do swych oddziałów, do okopów. —

Stefan Iwanowski
podporucznik

Oddział techniczny 3-go pułku

Oddział techniczny utworzył się po wyruszeniu pułku na Węgry. Zbyt nagle wypadło Legionom pójść w pole, by w pierw zdołano zorganizować i wyszkolić oddziały pomocnicze wprawdzie, ale tak niezbędne w dzisiejszym sposobie prowadzenia walki, gdzie nie tylko przewaga ognia, dzielność żołnierzy i umiejętność wodzów w manewrowaniu rozstrzyga o zwycięstwie. Walki dzisiejsze coraz głębiej wchodzą pod ziemię — fronty na setki kilometrów trzymają się latami dzięki wysoko rozwiniętej sztuce technicznej.

Wprost niemal po opuszczeniu kolei otrzymały Legiony rozkaz przejścia z Węgier do Galicyi i zaatakowania wroga w miejscu, skąd nie spodziewał się napadu. Należało więc wybrać drogę przez góry, a raczej bezdroże i przeprowadzić wojska. Magiczne słowo »rozkaz« pokonało niemożliwości; oddział nagle zebrany z wydzielonych po 4-ch żołnierzy z poszczególnych kompanii, nie zaopatrzony w narzędzia toruje drogę przez zbocza Pantyru i przeprowadza do Galicyi 2 kompanie; nie wystarczało to jednak — pod kierunkiem więc por. Wimmera rozpoczęto budowę drogi przez Rogozę, drogi odpowiedniej do przemarszu wojsk i taborów. W kilku dniach przecięto w odwiecznym lesie serpentyny — poprzez zdradzieckie bagienka górskie i strumyki rzucono mosty i stworzono »drogę Legionów«, jedyną na długo komunikację pomiędzy Rafajłową a Węgrami. Szły tamtędy bez ustanku wojska, transporty żywności i rozkazy do tej jedynej we wschodniej Galicyi wyspy, sterczącej dumnie i niewzruszenie wśród wrogiego zalewu.

Nieprzyjaciół zaskoczony uszedł, niszcząc za sobą mosty. Odwołano naszych saperów od »drogi Legionów«. Wnet stanęły na Bystrzycy nowe mosty — jeden z nich 46 m. długi — po których przeszły pułki do Nadwórny i hen na mołotkowskie pola...

Podczas 3-miesięcznej obrony Rafajłowej oddział — już jednolicie zorganizowany — rzuca pierwsze legionowe okopy, prócz tego pełni służbę liniową, przyczem odznaczają się odwagą poszczególni żołnierze... Lwowianin Gronkowski bierze w czasie nocnego ataku Moskali na Rafajłową sam jeden 6-u Moskali do niewoli; później w czasie 6-dniowej bitwy pod Maksymcem Kończycki, Gronkowski i Marchewka przedostają się na tyły nieprzyjaciela i udając z ukrycia głosami większy oddział, przyprowadzają we trzech 27 jeńców i cenne wiadomości. Tam Kończycki w ciągu 3 dni za dzielność osobistą awansuje z sekcyjnego na sierżanta; dalej ten sam Gronkowski wybiera się z Neubauerem pomiędzy Moskali

— dociera aż do Delatyna i wraca z ważnymi i dokładnymi wskazówkami co do rozkładu sił rosyjskich sam niestety, bo Neubauera pochwycono.

Po przerzuceniu pułku w kwietniu 1915 r. na granicę Besarabii wznoszą się rękami saperów należyte, silne okopy — pierwsze to nasze walki pozycyjne, ciągnące się dalej w Rarańczy aż do jesieni 1915. Mrówcza praca oddziału w okopach i na przedpolu przy wznoszeniu zasieków drucianych wśród kul, zabiera kilka ofiar w zabitych i rannych — tam przypłaca Gronkowski swą odwagę ciężką raną. Pozycje pod Rarańczą, założone przez saperów, a wykończone siłami całego pułku przetrzymały walki Legionów a po ich wysłaniu na Wołyń wszystkie ognie huraganowe w grudniu 1915 i styczniu 1916 r.

Pod Rarańczą stworzyła znana pomysłowość legionistów wynalazek wojenny. Saper Jossel zużytkowuje t. zw. »garnki« z wystrzelonych nieprzyjacielskich szrapneli do wyrobu bardzo prostych, a skutecznych min, doskonale służących do obrony zasieków drucianych i placówek przed podkradającym się w nocy wrogiem.

Walki na Wołyniu dają nowy typ budownictwa wojennego — zamiast wkopywać się w ziemię musiano stawiać korytarze strzeleckie i reduty całe na grząskich bagnach na wierzchu oraz liczne i długie mosty — wszystkie trudności pokonała przedsiębiorczość i niestrudzona praca pułku pod kierunkiem wyrobionego już oddziału. Tam wzniesiono przyczółek mostowy na Garbachu, nazwany z czasem redutą Piłsudskiego, »most Wimmera« i w. i.

Nietylko budowa okopów, ziemianek, granatników i mostów, wchodzi w zakres pracy oddziału. Nawiosną 1916 r. wykorzystują dzielni Podhalanie oddziału swe nieocenione zdolności ciesielskie w czasie wolnym od służby na budowę stylowej kaplicy w »lasku polskim«, zwanym przez nasz pułk laskiem Minkiewicza, według projektu art. malarza Janowskiego. Niestety dzieło to, mające stanowić miłą pamiątkę petyzmu legionistów uległo ogniom wrogiej artylerii w ostatnich walkach nad Styrem. Okupił je i oddział znów ofiarami. Zasłużony dawny komendant kap. Wimmer odnosi ciężkie rany, jego następca chor. Morawski dostaje się wraz z kilkoma ciężko rannymi do niewoli.

Uszczuplony, ale nie złamany stoi oddział gotów do dalszej pracy i ofiar, a że każdy saper »chłop w chłop« — według swawolnej legionowej piosenki — idzie śmiało w pełną nadziei przyszłość.

W. Remin
podporucznik.



Z doli i niedoli telefonisty

Telefon — to nerw armii.

Ciągłość połączeń wszystkich oddziałów w czasie ataków, a nawet i spokoju musi być stale utrzymywana. Każda więc przerwa, wnet po skonstatowaniu zostaje naprawiona przez patrol telefoniczny, będący wciąż w pogotowiu. Dwu lub trzech ludzi z tyczką, zwojem drutu oraz obciążkami i podręcznym aparatem magnetycznym pospiesza na miejsce. Mróz, deszcz, noc głucha nie robią tu różnicy. Nie masz, bracie apelu! Świeć latarką, gdy ciemno, gdy ulewa, nasuń czapkę na uszy, a iść musisz! Pociesz się w duszy, że nim wrócisz to druga linia się zerwie... Ha! Ha! kława rzecz ta wojaczka! Furda wszystko! Śmieć się bracie! Jutro na śniadanie kawa będzie! Może z cukrem... napiszemy do swoich, do »Hinterlandu«. He! To ci niespodzianka! I może źle! Ale! gdzie? Mało który, co drugi mruknie »niech ślag trafi«, a nie klnie, broń Boże, brzydkiego słowa nie powie.

Humor jest i koniec, a tego ci za wszystko starczy.

— Ti taaa, taaa tit! Halo! tu druga! — Druga! proszę porucznika J. dla kapitana S. — W tej chwili. — Pochylony nad swym stolikiem pełnym aparatów, słuchawek i sznurów, telefonista odruchowo, prawie bezmyślnie przesunął parę łączników i zadzwonił na którymś aparacie jedną długą. Zgłosił mu się porucznik w kancelaryi. Znow łączy coś wyłącza, wreszcie — »proszę rozmawiać!« Zaledwie rozmowę skończono, już ktoś woła — pytają o czas, kontrolują linię, podają depesze, meldunki, raporty. Ordynans biega od stacji do mieszkań oficerów i z powrotem, prosząc kogoś do telefonu, albo z depeszami nadeszłymi i do nadania. Ruch, życie wre jak w ulu, tylko telefonista spokojnie, miarowo pełni swe funkcje, jakby nerwy miał z postronków. Niechby choć trochę poddał się swemu humorowi, najchętniej najgorszemu, chciał besztać, gdy potrzeba (a często bierze ochotę), wnetby cały ład i porządek poszpecił i sprawił rejwach na linii, niby pierwszy granat wśród rekrutów.

— Brygada, choć nie rada, na miejscu nie siedzi, koczuje. Dziś tu, jutro tam, ale zawsze w lesie albo szczerem polu. Stąd konsekwencja — budować się trzeba. Zakasaj rękawy, doktorze, »pigułarzu«, studentu i ty, inna profesyo, a kuj a rąb... drzewo wysokie, kop doły, darnie drzyj, a po sobie nie patrz — marny widok! Trzeba widzieć jak robota składnie idzie, każdy fachowiec przecie i w swoim rodzaju. Ten tak radzi, drugi inaczej i już spór, dysputa. A pali się, pali — ale nie robota, skąd? — ciko*) w garści.

*) ciko — cienki, magdior szirarka papieros.

Wreszcie skończyło się na hałasie, ale i na szalasie przywoitym. Cztery ściany z okraglaków ładnie ułożone, dach papą kryty, okno z szybą (co za szyk!) i drzwi na prawdziwych zawiasach — jednym słowem, buda — proszę siadać. Teraz dalej aparaty do do środka, linie się przeciąga, ładnie w loczki zwija, oziemia zakopuje i ot centrala gotowa! Można bzykać, gadać póki drutu starczy.

— Siadź no teraz czytelniku ze mną na ławie, noc jest, cicho, to sobie pogwarzymy z wiarą.

— Halo, Franek! Halo trzeci!! Taaa, taaa... Franek! — Co jest?! — Nic, to ja. Jak się masz! Aha, to ty, serwus! — »Kimałeś«, co? — Ee, nie. Tak zdrzemnąłem się trochę. Wiesz, Janek poszedł do szpitala, dwóch nas jest, trochę ciężko. Cóż tam słychać? — Nic... Rumunia wojnę wydała. — Ale! co mówisz! — Seryo. Była depesza z A. O. K. Cóż ty na to? — Et, głupstwo! Dziady! Nasby tam dali, wnetbyśmy z nich żywego gulaszu narobili. No, no. Ale ci to pech. Co dzień to nowe skaranie Boskie na naszą rycerską cześć nastaje. Jeszczeby tylko Grecyi do tego bractwa brakowało? Zresztą... wiesz, ja tak kombinuję: to źle, ale to lepiej, kapujesz? — Masz rację. Mam list od Zośki. — Cóż pisze? — Ot jak zwykle z »hinterlandu«, to i owo a właściwie nic. Kartki chlebowe, drożdżyna, tęsknią za nami, łyzy ronią... Tratatata! Myślałbyś, najgorzej! Bawią się. Czytaj w kuryerze »Wielki festyn w Parku Jordana« — prawda. Zośka też pisze o tem. No, ale widzisz, to na cel dobroczynny. Urządzili coś nakształt życia w polu, okopy, kuchnie i t. p. — Aha! Pokazał jabym im wojnę. Postawiłbym parę karabinów maszynowych, trochę tych »słabszych« haubic a merzerków, a zaczął pracować górą. Gdzieś z flanki puściłbym słabo moskali i wio z całą czeredą na druty. To ciby była stypa. A gdy temu i owemu po całej opresyi jeszcze troszkę nóżki drzą, dalejże rozdawać chochelką gulasik ciepły, a kawusię z sucharkami. Niechby użyli cywile! Co?! — Daj spokój. Nie zaperzaj się tak bardzo. Ty zawsze coś czujesz do cywila. Toż i ty niedawno takim byłeś. — Aha! niedawno, tylko 2 latka. Mały kumecik czasu! Gadaj sobie zresztą jak chcesz, a ja zawsze będę swoje. — Halo, druga! — Tutaj. Meldunki? — Dobrze, zaraz. Bywaj zdrów, Franek! Cześć, czołem, czuwaj!

Taki to już nasz reluton. Twardy, a hardy. Ej! bo wie, za co się szanuje!

Krótką doli a niedoli naszej historia: trud i znój łącznie w żart się przeradza, i nim łąza po licu ścieknie, już na ustach uśmiech igra.

Ale, wierzcie mi, gorzki to śmiech...

Artyleria II-ej Brygady Legionów Polskich w Karpatach

...Wstają wspomnienia z przed dwóch lat, tej najwcześniejszej epoki Legionów, z dziejów »Żelaznej Brygady« ...Powstają w myśli obrazy gór zaśnieżonych, po których się chadzało, — dolin tak ściśniętych dwoma łańcuchami górskimi, że często dla drogi i rzeczki niedość było miejsca. Jawią się w wyobraźni wioski górskie, przełęcz... Krzyż Legionów z drogą tej samej nazwy — widome świadki walk i trudów Brygady...

Z dwunastu armatkami górskimi starego typu, zgrupowanymi w trzy baterie, ruszyła artyleria drugiej Brygady w Karpaty. Nie było czasu do namysłu. Brygada przeszła przez przełęcz Pantyr do Galicyi, by bronią torować sobie drogę do ziem polskich, zalanych przez potop rosyjski. »Fufki«, przywiązane do wozów lub wsadzone na małe węgierskie koniki, poszły dzielić los naszej piechoty. Razem z nią przebiegły baterie nasze w przeciągu trzymiesięcznego pobytu swego w Karpatach wzdłuż i wszerz duży pas gór — od Oekermész po Żabie, — brały udział we wszystkich ważniejszych bitwach II-ej Brygady, stając w pierwszych niemal liniach naszej piechoty.

Ile trudów znieść trzeba było, ile razy głód i zimno — dwa wrogi, gorsze od Moskali stawały groźnie w poprzek wąskich i trudnych do przebycia drożyn górskich, któremi przechodzić musiała młoda artyleria — opisać trudno! Wie o tem ten tylko, kto obok swej armatki przemierzał łańcuchy górskie.

Zapomniani przez własne społeczeństwo, jak cała ówczesna II-ga Brygada, odcięci od świata i kraju, zalanego w ogromnej części przez wroga, wiedliśmy na południowych kresach górskich żywot tułaczy, marząc jak żołnierze Dąbrowskiego, o powrocie do kraju.

Stanowisko I-ej bat. I-go pułku
artylerii Leg. Pol. 10.IX 1916

»Bateria samobójców« — to nazwa, którą nas obdarowano... Z »Werndlem na kółkach« miała nasza artyleria mierzyć się z nowoczesną dalekonośną armatą rosyjską; każdy strzał dymiącej legionowej »fufki« był wskazówką dla wroga, gdzie miał skierować swe pociski: dym wskazywał cel.

Zniosło się wszystko! — Dopiero, gdy ostatni pocisk, jakim rozporządzała nasza artyleria, został wyrzuty, opuściły baterie front, by zreorganizować się i przystosować lepiej do nowoczesnej wojny.

Gdy w Marmarosze Sziget dostaliśmy baterie dział szybkostrzelnych z dumą spoglądał każdy z artylerzystów na »zdobyte« ciężkim trudem armaty. — Tak! Artyleria polska, dymiąca małą armatką, walczyła sobie swoje dzisiejsze stanowisko.

Marzenia o powrocie do kraju ziściły się. Legiony całe, zgromadzone na ojczystej ziemi, wzięły udział w wypieraniu wroga z Polski, a dziś bronią wschodnich jej kresów. Karpackie baterie, połączone z bateriami I-ej Brygady Leg. Pol., stworzyły dzisiejszą artylerię Legionów, stanowiącą poważny i nowoczesny czynnik bojowy. Z dumą wspomina każdy z nas, kto przebył Karpacką szkołę, czasy swej wojennej »turystyki«.

Miano »Karpaczka«, niedoceniane przez tych, którzy go nie rozumieją, przyszłość postawi w odpowiednim świetle; karpackie walki II-ej Brygady winny zająć miejsce obok największych wysiłków i trudów Polski, z czasów jej porozbiorowych walk o wolność. Wtedy i dla »karpackiej fufki« znajdzie się miejsce odpowiednie.

Gdy losy pozwolą nam stworzyć własną narodowo-państwową armię i artylerię, wspominać się będzie wciąż pierwsze armatki legionowe, jako ucieleśnienie wysiłków pierwszego trudnego początku.

Andrzej Czerwiński
odnamiistrz I-ej baterii.

Mołotków

Bracie — na czole krzyż połóż ostatni,
oto idziemy w śmierć!.. Kłamne nadzieje —
bowiem z tej krwawej nie wyjdziem już matni;
Na polach zamieć ogniowa szaleje —
wichry kul jęczą — i miota się spiż...
Bracie — na czole kładź ostatni krzyż! —

To pole dzisiaj krew nasza zarosi,
więc je raz jeszcze ogarnij oczyma...
Patrz! — tam wróg hardy w opłotkach się żyzma:
raz wraz broń celną do oka podnosi...
raz wraz — błysk — salwa — i łoskot — i szum —
Bracie — to wyśnił się obraz twych dum!..

Do szturm idziem — dziś czwarty już raz —
(a pola w żywy zmienione są cmentarz).
Jakiś sen dawny... pamiętasz?... pamiętasz?...
Zapomnij! — Teraz wspominać nie czas! —
Sen roił grobów powiędłe wawrzyny,
a tu śmierć żywa i żywe są czyny!..

Zawyły piekła.. Huk — i dymów słupy..
to granat... Jezus Marya!! czyjeś ręce
rozpacznie lecą w niebo... ręce — trupy!..
Naprzód! — O bracie mój, nie myśl o męce —
oto jest śmierci purpura i tron!..
bowiem tryumfem dziś każdy tu zgon...

Cóż to?... jak kosą podcięte szeregi
 walą się w ziemię... Padnij! — Chronić głowę!
 tam karabiny grały maszynowe...
 przetrzymać ogień... Naprzód!.. Zdwoić biegi!..
 Tamci nie wstaną już — skrwawili łan;
 to nic — śmierć biała uleczy ich z ran!

Padnij! (Okopać się na krótką chwilę!)
 Ognia salwami!! (kule bez ustanku
 szyją). Przebiegać!.. Od prawego flanku
 coraz ktoś w złotym podrywa się pyle,
 coraz ktoś z jękiem powali się z nóg..
 Naprzód! przed nami opłotki — i wróg!..

Jakiś sen dawny w oczach mi się pali —
 sen to — czy jawa — !?... Olszynka Grochowska!
 Tam, tam przed nami — patrz!... z bronią u oka
 stanęli mierząc.. Mgła oczy spowija...
 Nie trudź się bracie — to rana głęboka...
 Za Polskę!..

Jezus — Józef — i Marya!...

Patrz — patrz! po ziemi ryją się jak krety:
 przedśmiertnych furi podrywa ich szal..
 burch szyneli zakłębił się wał —
 Naprzód w opłotki — Hurra!... Na bagnety!..
 Gruchnęły salwy u ziemi... »Złóż broń!« —
 Hurra!.. — Dłoń podaj!.. Bracie — podaj dłoń!

Pomóż mi — bowiem tak spieszo mi dalek
 a z ziemi podnieść nie mogę się wzwyż,..
 Cóż to? na piersiach.. sznur kraśnych koralik
 bracie — na czole kładź ostatni krzyż...
 niech Cię prowadzi naprzód Częstochowska!
 to nic — ty nie płacz — zmień serce we spiz!...

Na postoju, dnia 22 sierpnia 1916

Józef Mączka
chorąży

Atak nocny na Rafajłową

(24 stycznia 1915)

Było to w drugiej połowie stycznia 1915 r.
 Na czas nieobecności pułkownika Hallera objął
 komendę grupy w Rafajłowej major Roja.
 Moskalę siedzieli w Zielonej, my w Rafajłowej,
 broniąc przejścia przez przełęcz pantyrską,
 o której sforsowanie wielce rozchodziło się
 przeciwnikom. Po odpartym grudniowym ataku
 przygotowywali oni nowy, chcąc nam wydrzeć
 wieś jako ważną podstawę operacyjną, a sobie
 utorować wolną drogę przez Karpaty. Ostateczny
 atak rosyjski podjęty został w nocy z 23
 na 24 stycznia. Równocześnie zamierzali Moska-
 le uderzyć na Holzschlaghaus od strony
 Klauzury, by nam na tyły wejść i odwrót
 zamknąć.

W noc tę pełniły służbę w Rafajłowej
 dwie kompanie IV-go baonu 2-go p. p. Leg.
 Pol.: 13-ta podp. H. Kochanowskiego na pla-
 cówkach i wedetach, 16-ta zaś por. Fl. Wę-
 głowskiego, zlurowana od północy, spoczywała
 w najbliższych chatach, jako rezerwa forpoczt.

Milczkiem, podstępnie, bez strzału, wilczym
 śladem szli Moskałe ku naszym pozycjom.
 Taki był »prykaz«. »Pukaczi« — »sokoliki«
 — »detyny« bagnetów rosyjskich się zlekna —
 myśleli — na łaskę niełaskę się zdadzą, w ra-
 fajłowskie przepuszczą zagrody. »A w Rafajło-

wej magazyny bogate, wódki, słoniny i chleba
 mnogo«. Radowała się więc dusza muzyka
 nadzieją łatwego zwycięstwa. — Drogą od Zie-
 lonej już tabory się wlokły — łupy zdobyczne
 zbierać. Cichaczem, masą od przodu, klucząc
 bokami, podeszli Moskałe ku wedetom i placów-
 kom, aż tu wypadli z lasu z wrzaskiem piekiel-
 nym: Urra! Urra!

Nie wytrzymały wedety, zakłute bagnetami
 i odstrzeliwująca się placówka kompanii 13-tej
 i cofnęła się. Huknęły też strzały od Terso-
 wania, podniósł się krzyk i łomot. Podchwy-
 cił wrzawę las głuchy, echem szerokim zwie-
 lokrotnił i w ciemność rzucił. — Alarm —

Zawiadomiony o ataku major Roja wyje-
 chał konno na miejsce walki, by osobiście dys-
 ponować obroną.

A bitwa już wrzała na dobre. Łopotliwy
 świst, jęk, grzmot dudniący przewalał się po
 dolinie. Padło zamieszanie na taborytów, pa-
 kowały się pospiesznie furgony i uchodziły co
 żywo w gardziel wawozu, ku przełęczu pan-
 tyrskiej. A tam u skraju wsi — bitwa. Śmierć
 zbierała pełną dłońią swe żniwne pokosy.

Moskałe czarniawą zbitą, huczącą, gnającą do
 mostu na Bystrzycy — już — już — przejdą —
 stratuja — rozwlęką wszystko.

Huk — to kompania 16 ta salwa za salwą bije. Kule wżerają się w masę pędzących Moskali, roztrącają na strony. W nurty Bystrzycy trupy rosyjskie walą się pokotem. Lecz Moskałe od lasu już zachodzą i prą gwałtownie. Wtedy kompania, ostrzeliwując się gęsto, stawiając zacięty opór szturmującym poczęła się zwolna wycofywać, krok za krokiem. Każdą chatę, każdy węgiel, opłotek musiał wróg zdobywać z osobna. A tu najmniejsza chwila zwłoki znaczyła wiele, gdyż dawała możność zebrać się innym oddziałom, kwaterującym we wsi. Dopadło żołdactwo pierwszych chałup, w których śpiący żołnierze nie mieli czasu jeszcze się zebrać, atak bowiem rosyjski był dziełem kilkunastu minut i nikt sobie tak dalece nie zdawał sprawy z sytuacji. Wybiegło więc wszystko, jak tam który był, jeno z karabinem w rękę. Rozgorzała w tym momencie walka straszliwa, wręcz. Pracowały bagnety, kolby i pięście.

Ranny już, plutonowy Kowalski chwyta nadbiegającego Moskała w pól i rzuca się z nim w wawóz Bystrzycy, gdzie śmierć znajdują obaj.

Podporucznik Szul na pól w bieleźnie walczy z bagnetem w rękę jak prosty żołnierz, porucz. Fiałkowski prowadzi z zdobytą szablą I-y baon 3 go pułku do ataku.

Mimo jednak zacieklej obrony, gwałtownie atakująca masa dochodzi aż zwykłej kwatery pułkown. Hallera. Lecz tutaj na brzegu znalazły silniejsze oparcie kompanie Legionów. — Ktoś zanucił: »Ach tam pod Krakowem modra Wisła płynie« i po każdym wierszu jak grzmot w takt pieśni biła salwa, stokrotnie oddawana przez echo doliny, a potem ogień szybki od lewego i znów od prawego... Zdumieli się Moskałe, bo im się zdało, że zagrały karabiny maszynowe i strach na nich padł.

Był moment, że już zabrakło amunicji.

Wtedy major Roja meldującemu o tem odrzekł: «Niema naboju, ale są bagnety! — Naprzód chłopcy!»

Było to jakby hasło do kontrataku.

Wzmógł się ogień, zwarły szeregi.

Grzmiał nasz pluton artylerji pod podporucznikiem br. Wieleżyńskim, wystrzelał całą swą amunicję, ściągnął swe antyczne armatki z pozycji i strzelał z karabinków. — A tylko górska artylerja austriacka biła niestrudzenie, żeśmy rano tylko krew i krew obok odłamków pocisków widzieli na śniegu.

Na prawo ze czterema kompaniami 3-go pp. trzymał linię (wtedy) kapitan Minkiewicz. On jeden z pierwszych znalazł się na stanowisku i w tym dniu zasłużył się niezmiennie. Publicznie oddawano mu pochwały. W bok od mostku leżała 16-ta komp. 2-go pp. LP. Tuż porucznik Floryan Węglowski, pełen zimnej krwi raził Moskali salwowym ogniem całej kompanii.

Wśród huku strzałów słysząc było stanowczy donośny głos jego komendy. W tem został ugodzony kulą w brzuch porucznik Węglowski. Jeno się zachwiał i runął na ziemię z okrzykiem «Jezus, Maryja!» — Rana była ciężka z bliska zadana. Poskoczyli ku niemu żołnierze, i na płaszczyk złożyli, by w tył unieść. Tracił przytomność — jeszcze wyszeptał: «jak to lekko umierać za ojczyznę», a potem w majaczenia gorączkowe popadł, oddając się jakimś przesłodkim wspomnieniom, przerywanym jękami nieopisanej boleści.

Dniało już. Tymczasem kontratak postępował naprzód na wszystkich prawie punktach. Zaczęto wyrzucać Moskali ze wsi i to przeważnie bagnetami. Walka stawiała się coraz bardziej zaciekle i brutalna. Trupy zaścieliły pobojuwisko, stratowany śnieg czerwieniał się kałużami. Moskałe zdziesiątkowani, zostali zmuszeni do odwrotu.

Zwycięstwo. — Prowadzący atak, sztabskapitan Jastrebow został na placu walki. Dzielny to był oficer. Brał udział w wojnie japońskiej, a w tej już dostał złotą szablę za waleczność od cara.

Zwycięstwo — mimo czterokrotnej przewagi przeciwnika wawóz i wieś pozostały przy nas.

Po przybyciu na kwaterę major Roja pisał w rozkazie dziennym do żołnierzy: «Dziś po raz pierwszy naharataliśmy gruntownie Moskali. 133 Moskali wziętych do niewoli, w tem paru oficerów, a bardzo wielu rannych i zabitych — oto straty wroga».

Po naszej stronie straty nieliczne, ale bolesne. Paru zabitych, kilkunastu rannych. A przede wszystkim porucznik Węglowski dogorywał w rafajłowskim szpitaliku.

Smutnym pogrzebem porucznika Węglowskiego zakończył się rapsod rafajłowskiego ataku. W mroźny, styczniowy poranek stanęliśmy szpalerem na cmentarzu katolickiego kościółka. Wewnątrz ksiądz kapelan odprawiał

mszę żałobną. W środku stała trumna, wieńcami choiny przykryta. Ponura pieśń krążyła u drewnianych sklepień łopotem skarg prze-smutnych, echem pożegnalnych psalmodyi. Wreszcie, na ramionach wiernych towarzyszków broni niesiona, ukazała się ubożuchna, biała, so-snowa trumna. Padła komenda, to poległemu oddawano ostatnie honory wojskowe. Nad otwartą mogiłą przemówił pułkownik Haller (który w tymże czasie powrócił do Rafałowej), podając poległego bohaterską śmiercią, jedynie godną żołnierza—Polaka, wszystkim jako przy-kład i zaprzysięgając przy tym świeżym gro-bie obecnych do wytrwania.

2/IX 916.

Zatrzepotały się wargi w niemej modli-twie a na wieko trumny posypały grudy zmarz-łej ziemi. A potem wyrwała się z piersi wszystkich pieśń skargi i nadziei «Boże coś Polskę» — Dziwnem jakimś uczuciem i mocą brzmiała ta pieśń bezdomnych pogrobowców, śpiewana tutaj na ubogim rafałowskim cmentarzu nad mogiłą polskiego żołnierza. Biła jękiem prze-okrutnej boleści i krzykiem serdecznego pro-testu. A wiatr zimowy, co się szumem z po-bliskich borów podrywał, brał ją na skrzydła swoje i niósł doliną w świat daleki po bez-drożach stuletnich, krwawych szamotań się pol-skiej tęsknoty.

Rajmund Bergel
sierżant

PRYSŁUP

W styczniu 1915 r. przerzucono nas na Bu-kowinę. Nas, t. zn. II-gą Brygadę, do której należał wówczas i nasz dywizyon ułanów. Bez wielkich żalów porzuciliśmy dotychczasowe sta-nowiska, późna bowiem jesień dawała się we znaki, lało się do butów i za kołnierz, marnieli nam ludzie i konie. Zawagonowani w Huszt, przebyliśmy znośnie czas podróży, aż wyrzuceni na małej stacyjce węgierskiej i ustawieni w dłu-gie szeregi, cierpliwie przestaliśmy dzień cały, czekając na rozkazy. Głód zaczął skręcać wną-trzności, a zimny, dżdżysty dzień miał się ku końcowi. Późnym już wieczorem po otrzymaniu odpowiednich wskazówek odmaszerowaliśmy, szwadron do Borsy, ja zaś z moim plutonem do Borsabanya. Po dłuższej wędrówce po nie-znajomej i górzystej okolicy, gdzie drogą było częściowo zamrożone łożysko rzeczki, zmarznię-ci i zmęczeni, nie zwracając uwagi na prześliczną górską okolicę, dobrnęliśmy do wioski. Stali-smy w niej parę dni. Chodziły już wtenczas wieści o 2-tygodniowym odpoczynku dla na-szej Brygady i to w najbliższym czasie tak, że rozkazu spodziewaliśmy się lada dzień. Wre-szcie nadszedł tej treści:

«Odmaszerować do Borsy, zakwaterować, gdyż prawdopodobnie zostaniemy tam czas dłuższy.» Zebrałem swoje manatki, wciągnąłem z lubością stare lakiery, co to jeszcze z cywila zostały, grube, juchtowe buty rzuciłem na furę, zabieram swoich chłopców i jedziemy. Przyje-chaliśmy do Borsy, fura się za nami parę ki-

lometrów wloką, bo to droga pod psem i za-czynamy kwaterować. Stoję właśnie na drodze i z wysokości mojej kobyły staram się ocenić, gdzieby tu najlepiej swoją komendancką go-dność pomieścić, wtem podjeżdża do mnie ułan, od mego Komendanta szwadronu z roz-kazem natychmiastowego marszu na Pryslup. Trochę mi się jakoś dziwnie zrobiło, że w ten sposób skończył się długo zapowiadany odpoc-zynek, ale że to rozkaz, święta rzecz, jak nasz Jasio mówi, zebrałem szybko pluton i dołączy-łem do mojego 3-go szwadronu. Mieliliśmy na 3 dni iść na Bukowinę i na ten czas wziąć amunicję i prowianty. Byliśmy już gotowi, gdy nadjechał 2-gi szwadron z ś. p. Rotmi-strzem Wąsowiczem i z całym dywizyonom ru-szyliśmy niebawem. Drogę przed nami zamy-kał nam Pryslup, przeszło 1.200 m. wysoki, otulony w śnieżny całun, zimny i niedostępny. Węzowało wijącą się drogą pięliśmy się coraz wyżej poprzez śniegiem zawalone lasy, gdzie z pod puchowych zwałów wystawały zaledwie czuby drzew, a na przygiętych od ciężaru ga-łęziach skrzyły się miliardy kryształków lodo-wych. Słońce chyliło się ku zachodowi, a z nim przejmujący chłód drętwił nam ręce i ko-lana i białym szronem osadzał się nam na twa-rzach. Zerwał się wiatr, poszeleścił po lesie, przysiadł i znów się zerwał, porwał garść igieł lodowych i rzucił nam w oczy. Zmrok robił się coraz gęstszy, mróz chwycił za piersi, mro-ził oddech, przejmował do kości. Skostnieli



Kap. Adam Kossakowski



Kap. Zygmunt Czechna-Tarkowski



Rotm. Dr. Robert Kunicki



Grupa oficerów 3-go pp.



Szkoła podoficerów II-ej Brygady

z zimna, obsypywani śniegiem zmieniającym się w ostre igły lodowe, dosięgnęliśmy szczytu. Biedne jakieś konisko, zmarznęte i wyczerpane zważyło się na drogę. Na szczycie góry mieliśmy nocować. Brnąc w zaspach śniegowych, szukaliśmy baraków i znaleźliśmy w końcu przysypane prawie zupełnie i tak zapchane konietami trenowymi, że palca wścibić nie było można. Trzeba było szukać dalej, po godzinie jednak zjechaliśmy się znowu w ten samem miejscu, nic nie znalazłszy, o mało ludzi i koni nie potopiwszy w śniegu. Nadciągały tymczasem inne oddziały, piechota i artyleria, nie było jednak gdzie głowy skłonić, stało więc wszystko tak noc całą, na wicherze i mrozie, bez łyżki gorącej strawy. Śnieg sypał coraz gęstszy i siekł nielitościwie po twarzach, mróz ścinał krew w żyłach, ludzie i konie tulili się do siebie, skostniałe palce odmawiały posłuszeństwa. Godziny mijały powoli. Jeśli kiedy powrócę znów w te strony i ujrzę góry te, choćby nawet w całym majestacie krasy, słońca i zieleni, to jednak nie zapomnę im nigdy

wtenczas przeżytych chwil. A nocy takich dużo było, prawie tyle ile ich zima w sobie liczy. Ze świtem poszliśmy dalej, brnąc w śniegu, ruchem rozgrzewając skostniałe członki, szliśmy pod Kirlibabę. Marznąc, nie śpiąc, nie jedząc, wdierał się nasz dzielny piechur coraz dalej w głąb śnieżystych Karpat, ginął z mrozu lub z rozdartą kulami piersią, wydierał jednak pięść po piędzi wrogowi, wyrzucał go ostrzem bagnetów coraz dalej, aż zdecydował o zwycięstwie. Kirlibaba była wzięta, nam udało się wziąć kilkudziesięciu jeńców, ale niewielu z nas pozostało, część zaledwie zdołała przetrzymać te ciężkie chwile. W parę dni później przejeżdżałem znów przez Pryślup z rozkazem. Chowano właśnie na szczycie góry jednego z tych, któremu znowu w nocy cicho i podstępnie Pryślup wydarł życie...

Późno już, przed naszym leśnym domkiem pali się ognisko, strzelając snopami iskier. Nocy coraz chłodniejsze, jesień się zbliża, a z nią trzecia zima.

Stanowisko, 9 września 1916.

*Tadeusz Grabowski
podporucznik*

Z drugiej naszej ofensywy Bukowińskiej

Panu Pułkownikowi Zelińskiemu poświęcam.

Nadeszła noc z 12 na 13 czerwca 1915 roku. — Od 7 wieczór zaczęła się dla nas ofensywa, a tylko raz dojechały do nas w tym czasie kuchnie.

— 8 i 9 braliśmy Łużany, 10 Witelówkę, 11 Zdobrowkę, idąc na czołe armii, co z nad Prutu parła ku granicom Besarabii.

— Wzięliśmy dzięki oddziałkowi czternastu ludzi, którzy zaszli z flanki pozycje nad prostopadłem niemal urwiskiem, na jakieś 25 metrów wysokiem, w nich 300 jeńców, w tem paru oficerów, dużo broni i karabiny maszynowe. Gonili uciekającą artylerię i zagarnęli jej osłone.

— Patrząc na to Ekscełencya Marszałek polny porucznik Korda, bił nam brawo, nie chciano oczom wierzyć...

— Szliśmy w takim tempie, że tchu brakło, że skrzydła nie mogły nam nadążyć, i płacili krwawe długi za 13 maja 1915 r. z procentem...

— Przyszli wreszcie pod Rokitnę...

— Rozpędem pierwszym uderzyli na jej wzgórze i zostali odparci.

— A atak był straszny...

— Żołnierz biegł, dostawał salwę armat rosyjskich, co całkiem dla nas widoczne stały pod Mohylą, padał, znów się podnosił i biegł ostatkiem sił, wyczerpanych tymi paru dniami, gdzie po marszu była bitwa, a po bitwie marsz. —

— Poszła rezerwa naprzód, lecz napróżno.

— Armaty rosyjskie były i były bez odpowiedzi z naszej strony.

— Moskale wsi bronili bagnetami. Pod Mahalą, gdzieś na granicy Rumunii, odparte prawe skrzydło zmuszając je do cofnięcia się.

— Nadeszła noc.

— Jasne promienie słońca działały ożywczo, w ruchu ataku w emocyi, żołnierz zapominał o zmęczeniu. Lecz ostatniej nocy miał tylko 3 godziny snu, a poprzednich niewiele i cały dzień niejadł absolutnie nic.

— Śmiano nam położyć cenę na gorące jedzenie, na dojechanie kuchen: zdobycie wzgórz!...

— Natura zaczęła odzyskiwać swe prawa, kto mógł, padł na ziemię i zasnął.

— Noc była czarna, straszna jękami jeszcze nieopatrzonych rannych, niepewnością sytuacji i tą nie do opanowania sennością wszystkich, co groziło katastrofą...

— A wtedy ktoś z tyłu przyniósł rozkaz zimny, nieubłagany: wzięcia wsi atakiem nagłym na białą broń.

— Jakim cudem pobudzono żołnierzy, jak zebrali się na drodze do wsi, nie wiem... Gdym odnalazł jedną z zbłąkanych kompanii i szedł z nią, było już nieco jaśniej.

— Rozróżniałem popielatą drogę, na której nogi tonęły w pyłe jak puchach. Cała ona pokryta była jedną bezkształtną masą śpiących...

— Czekali na meldunki patroli bojowych, co jeszcze nie wróciły—i posnęli. Dwa stały tylko cienie prosto przedemną: pułkownik Zieliński i major Miniewicz.

— Pełnili straż.

— I słyszałem, jak mówił pułkownik Zieliński: »Nie budź ich majorze i tak może to niektórym sen ostatni...«

— Pułkownik Zieliński!

— Niema żołnierza w II-ej Brygadzie, coby go nie znał, niema żołnierza, coby Go nie kochał.

— Jeden on z tych, co tak zna duszę »relutona«, że gdy się doń odezwie, zawsze w myśl jego utrafi.

— Jeden z tych, co chyba rodzili się żołnierzem, a kiedy legnie, to »w płaszczu żołnierskim spowity i na szabli, jak na krzyżu rozbity«...

— Jeden z tych, co zapomnieli o latach, niebacznii na silnie nadwątlone zdrowie, mierzą swe siły na zamiary.

— Jeden z tych, co stali nad otwartymi grobami ułanów, poległych w szarży pod Rokitną, prosto, jak na wojskowej paradzie, niewzruszeni, a wielkie łzy padały na te białe trumny...

— Jeden z tych, co nigdy nie stracili nadziei i wiary w żołnierza i na wypowiedziane kiedyś zda-

nie o niepokonanych trudnościach, dali odpowiedź: »Dajcie Legioniście pręcik, konia do niego on sam sobie znajdzie«...

— 17 czerwca tegoż roku, szedł na nas atak za atakiem.

— Brakło naboju, brakło tchu.

— W łamach zbóż przed nami zaczerśniała znów masa, idących Moskali.

— Szli z podniesionymi rękoma...

— Poddawali się?!...

— Linia nasza zamarła...

— Oni szli.— Co raz bliżej i bliżej...

Już na kroków 50 i nagle: wyrwali szablę z pochew wiodący ich oficerowie, błysły ciągnione po ziemi karabiny, straszne »hurra« rozdarło powietrze...

— Salwa ostatnimi nabojami i żołnierz porwał się, rzucając mimowoli wzrokiem po za siebie, czy mu ktoś nie śpieszy na ratunek...

— I biegł Pułkownik Zieliński z nagą szablą w rękę...

— Biegł, jako jedyna rezerwa...

— Atak to był ostatni dnia tego. Wzięto 1002 jeńców. Ranny podpułkownik rosyjski umarł, opatrzony przez naszych lekarzy. Sami pochowaliśmy 80 paru Moskali. Zdemontowali 2 armaty, biorąc do niewoli komendanta plutonu, z którego zaprzęgu pozostał jeden koń, a z obsługi nikt.

10/IX 1916

Teodor Chmielowski
podporucznik

Ł U Ź A N Y

(z ofensywy bukowińskiej — dzień 8 czerwca 1916)

Zachichotał z nagłą złowrogim poświstem pocisk nad naszymi głowami; zawirowały w piasku drogi lejki kurzawy, znacząc miejsca uderzeń ołowiu kulek szrapnelowych. Byliśmy »zmacani«. Przerzany komendant dał rozkaz przesunięcia się pod osłonę dalszych chałup. Szybko, chyłkiem, przebiegaliśmy jeden po drugim na wskazane miejsce. Gromadą gwałną zasiedliśmy na murawie, w cieniu sadu i gawędząc, czekaliśmy rozkazów. Pluton nasz był rezerwą, linia bojowa posuwała się ustawicznie naprzód. Zdała dobiegało ku nam terkotanie karabinów, a oczy ciekawego, gdy stanął u opłotków, obserwowały na horyzoncie szereg obłóczków szrapnelowych. Dzień chylił się ku końcowi. O kilkaset kroków przed nami paląca się chałupa przydrożna złościła się krwawymi językami płomieni i odbłaskiem zachodzącego słońca na szybach. Ciemna zielen łąk, porośłych wysoką trawą, mroczyła się za wsią. Czekaliśmy rozkazów.

Szarżało coraz bardziej, cichła z wolna wrzawa bitewna. Padła komenda posuwania się sekcjami w »schodach« w kierunku na palącą się chałupę. Cztery linie po kilku ludzi — w odstępach kilkudziesięciu kroków — śpiesznie wysunęły się na łąkę i podążyły naprzód. Lecz już po kilkunastu krokach jeło bulgotać pod nogami. Woda sączyła się do obuwia, nogi grzęzły w lepkiem błocie. Z trudem unosząc za-

padające się nogi i skacząc z kępy na kępę sitowia, staramy się przebyć możliwie najszybciej moczar. Gdyby nas teraz zaskoczył ogień nieprzyjacielski, nie sposób, padając na ziemię, kryć się przed jego skutkami. A wody coraz więcej, nogi grzęzną coraz głębiej, krok coraz bardziej utrudniony...

W dali zajaśniały dwa błyski. W kilka sekund po nich dwa wybuchy. Artyleria moskiewska śle nam ostrzeżenie. Posypały się w sitowiu kulki szrapnelowe. Przyspieszamy kroku. Jeszcze dwieście, trzysta kroków i bagnisko się skończy. Znowu groźne błyski i biegniemy już prawie. W kilku miejscach rozpryska się woda — granaty. Ktoś pada. Ranny, zabity?... Lecz nie; ociekający wodą, oblepiony wilgotnem błotem, wnet się porywa i biegnie dalej. Mrok już prawie zupełny, przed nami igra płomieniami ogień pożaru. Słychać trzask gorejących belek. Krok znowu przyspieszony, a wnet nowe pozdrowienie armatnie. Bryznęło nam błotem w twarz. Ale lżej już iść, nogi mniej grzęzną. Jeszcze kroków kilkadziesiąt i pod nogami czujemy suchy grunt. Ciemno już zupełnie. Oddychamy swobodniej, obserwator rosyjski widzieć już nas nie może.

O kilkadziesiąt kroków przed nami droga. Pewni siebie idziemy już z wolna. Nagle słyszymy dobrze znany, miarowy stukot karabinu maszynowego. O ka-

mienie drogowe uderzają kule. Instynktownym odruchem chwytamy broń w ręce i biegiem przebywamy pozostałą przestrzeń. Skaczemy do rowu przydrożnego. Lecz już cisza całkowita. Posuwamy się z wolna ro-

wem i wkrótce dołączamy do innych plutonów naszej kompanii. A po chwili, otuleni w płaszcze, na miękkim podłożu murawy, zasypiamy — by jutro z nową energią prowadzić dalej ofensywę...

Julian Kułski
chorąży

Nasz pierwszy postój

Po przybyciu na Wołyn, drugi pułk wypoczął przez kilka dni w okolicy Maniewicz. Pierwszy i drugi batalion rozłożył się w najbliższym sąsiedztwie stacji kolejowej, trzeciemu przypadła w podziale ukryta w głębi lasów smolarnia z małym, opuszczonym dworkiem, gdzie nas podejmował stary dziadek, zgnębiony wojną i nieruchomem rozpadaniem się wszelakiego mienia. W dworku były jeszcze żałosne ślady jakiejś lepszej przeszłości. Wałały się numery ilustrowanych pism rosyjskich, które przeglądaliśmy chciwie, aby wojnę i z drugiego zobaczyć końca. Gdzieś-gdzie porozkładane robótki kobiece, jakieś na ścianach obrazki, które tu dziwnym zawędrowały sposobem. Czasami ktoś z kąta wyciągał wielkie, tekturowe pudło, we wnętrzu którego chowały się staromodne, słomiane kapelusze, ustrojone zmiętymi kwiatami. Czasami w jakiejś przypadkowo odkrytej spiżarni zapachniał żywicznym technieniem lasu miód bursztynowy. Wałały się tu i ówdzie szklanki z cienkiego szkła, wysmukłe kieliszki i poszczerbione filiżanki — niegdyś duma i przepych nielicznych zebrań towarzyskich. Wszędzie widać było ślady postojów i noclegów żołnierskich. Prawie wszystkie narodowości, biorące udział w wojnie wschodniego terenu, przewędrowały już przez ten opuszczony dworek, zostawiając po sobie jakieś wspomnienie. Stary domu właściciel pogodził się już z tem i wszystko na opiekę losu zostawił, nie nikomu nie bronił i tylko z twarzą ponurą z kąta łaził, jak automat nakręcony, trząsł siwą brodą i szeroko otwartymi oczyma patrzył, patrzył i patrzył

Czasami tylko próbował się skarżyć. Przychodził nieraz do nas i mówi coś podobnego: — Ot, panowie kochani, przysłał tu do mnie zapiskę ze stacji i każą oddawać wszystką międz ze smolarni.....

— A dużo pan tego ma? — ktoś zapytał.

— Jest i rury miedziane i kotły? Będzie myśleć ze czterdzieści pudów.

Ale gdzież mnie to dawać, to i cała moja fabryka do dyabła.....

I kręcąc niespokojnie staremi oczyma, dodawał:

— Może panowie poradzą co.....a?

Ale myśmy wzruszali ramionami, bo i cóż można było poradzić.

— Niech pan weźmie pieniądze albo kwit. Trudno panie, wojna!

— Aa... wojna — powtarzał i znowu dygotała niespokojnie stara, siwa broda.

Częściej przychodził do nas mały jego wnuczek i stając w milczeniu, każdy nasz ruch najdrobniejszy ciekawym, nienasyconym nigdy wzrokiem pożerał.

Czasem ktoś z nim rozmawiał, a on odpowiadał z dziwną jakąś powagą, nie kraszac nigdy twarzyczki swobodnym uśmiechem.

— Polak jesteś? — pytał go ktoś.

— Tak, Polak.

— A po polsku pisać i czytać umiesz?

— Nie umiem ja.

— A czemu?

— Nie było komu uczyć...

— Chciałbyś umieć?

— Chciałby.

— A matka twoja gdzie?

— Matka ujechała w Odessu, do brata swego — już dawno.

To znowu:

— A wiesz jakie my wojsko?

— Wiem, Polaki.

— Podobna najlepiej i grają i śpiewają i tańczą ładnie.

— Inne nie takie.

— A możebyś poszedł razem z nami.

— Możeby poszedł...

I stał znowu, nie odzywając się ani jednym słowem i patrzył.

A patrzył inaczej, niż jego siwy, zgarbiony dziadek.

Największą atrakcją smolarni był stary, rozklekotany niemożliwie fortepian. Może nie tak dawno jeszcze panienska w białej, batystowej sukni popisywała się na nim «Modlitwą dziewicy» albo «Przebudzeniem Iwa», a goście zgromadzeni w salonie promienieli z zachwyty i głośno, ze znanstwem wyrażali swoje uznanie. Teraz od rano do wieczora bębniły weń twarde, żołnierskie ręce i wygrywały bezustannie arye legionowych piosenek i niespokojne, taneczne melodye. Czasami jeszcze gorszy los go spotykał. Ktoś mniej czuły na jego wyjątkowe, prawie patriarchalne stanowisko, uważał go za pospolicity mebel i urządził sobie na nim posłanie. Stary klawikord trząsł się z oburzenia i protestował gwałtownie brzękiem strun.

Przy pomocy tego rozkapryszonego dziwaka urządzaliśmy co wieczór bal w salonie zamiecionym porządnie i oświetlonym kilkoma świecznikami, oraz płomieniami ognisk, palących się przed oknami. W braku płci słabej podchorążowie zostali mianowani... kobietami. Były do wyboru: panny, mężatki, rozwódki i wesołe wdowy. Nie wolno im było palić papierosów ani żadnym nieostrożnym gestem lub słowem zdradzić tajemnicę swej płci. Musieli rumienić się wstydliwie, uśmiechać filuternie, mrużyć kokietyrnie oczy, rzu-

cać omdlewające spojrzenia z za wachlarza, czasem zbyt nieśmiałego jednym zręcznym słówkiem zachęcić. Musieli drzeć z upojenia i słuchać z cierpliwym zrozumieniem niemiłosiernie długich zaklęć miłosnych. Jakkolwiek jednak podchorążowie z prawdziwym poświęceniem i rzadkiem odczuciem rolę swą wypełnić usiłowali, większość ich wielbicieli doszła do tego melancholijnego przekonania, że kobieta jest jednak... kobietą i nie można jej zastąpić niczem takim.

Mimo to wszystkie wieczory w smolarni miały wybitne powodzenie. Wszystkie bale udały się i trwały nieraz późno w noc.

Podczas jednej z takich spóźnionych zabaw, pomiędzy rozbawione pary i skoczne dźwięki tańca wpadł nagle, jak pocisk niespodziewany, okrzyk pełniącego służbę telefonisty: —

— Alarm!

— Alarm — powtórzyli wszyscy i rozbiegli się jak stado spłoszonych kuropatw.

W dwadzieścia minut potem batalion był już gotów do wymarszu. Słychać było szcęk broni, mia-

rowy szelest kompanii, zajmujących swe miejsca. Skrzy-piały preraźliwie koła i parskały rażno konie. Czerwone płomienie dopalających się ognisk oświeślały tajemniczo ten obraz pełen ruchu i zgiełku. Czarne postacie żołnierzy wynurzały się z ciemności i rysowały się nagle ostrymi konturami. Czasami wewnątrz domu słychać było głucho i szybkie dudnienie kroków, potem pojawiał się żołnierz w pełnym uzbrojeniu, z karabinem w rękę i biegł tam, gdzie już stały równe, długie szeregi.

Wreszcie rozwinął się kręty wąż ludzi. Zamajaczyło światło księżyca i odezwał się gdzieś daleko głucho pomruk armat.

Obróciłem się. Za nami widać dom ponury, o czarnem pustem wnętrzu. Migotliwy, drgający płomień błysnął od czasu do czasu po szybach. W tem świetle niepewnem ujrzałem na chwilę postać starca, opierającego się dłonią o głowę dziecka. Stał na progu, patrzył na nasz odmarsz i pewno już biedził myśl skołatana: jacy tu po nas zawitają goście nieproszeni.

Stanisław Dzikiowski
chorąży

B I E L G Ó W

Było już dobrze po północy 2 listopada 1915 r., kiedy wreszcie zajęliśmy przeznaczone dla nas rowy strzeleckie, niedawno przez Rosyan opuszczone. Batalion drugi i część trzeciego obsadził pierwszą linię, dwunasta kompania w odległości kilkudziesięciu kroków zaledwie zajęła rezerwę. Kwatera pułkowa pomieściła się tej nocy w małej norze, wygrzebanej na prędce w piasku, gdzie z trudem można było wyprostować zmęczone członki. Pułkownik Januszajtis, który nigdy ani na krok nie opuszczał swego żołnierza, tam właśnie spędził noc, leżąc, jak wszyscy na gołej ziemi.

Korzystając z osłony nocy, żołnierze nasi rozpoczęli staranniejsze okopywanie. Trzeba było rowy niejako na drugą stronę przenicować, odwrócić ich front w przeciwnym kierunku, a przede wszystkim pogłębić, pogłębić za cenę życia wielu. Mogła to jednak przeprowadzić z zupełnym powodzeniem tylko jedna dwunasta kompania, która miała do czynienia z podatnym, piaszczystym gruntem. Cała jednak przednia linia znalazła się w najgorszych warunkach. Płytki rów zaledwie chronił od kul karabinowych, można się tam było posuwać tylko na czworakach. Pogłębianie lichych okopów było niemożliwe. Za każdym ruchem łopaty, przybywało tylko wody i błota. Próbowano okładać je darnią, ale okazało się to nadmiernie uciążliwym i trudnym do wykona-

nia. Natychmiast po zajęciu nowych pozycji przeprowadzono linie telefoniczne. Przedtem jeszcze uzyskano połączenie: na lewym skrzydle z drugą brygadą niemiecką, na prawem z dziewiątym i dziesiątym pułkiem austriackiej obrony krajowej.

Tak zeszła noc pełna niepokoju, oczekiwania i przygotowań pośpiesznych. Ustawiczny ogień nieprzyjaciela, znajdującego się od nas w odległości kilkuset kroków zaledwie, nie pozostał bez rezultatu. W przeciągu kilkunastu godzin zaledwie pułk drugi poniósł dosyć dotkliwe straty w zabitych i rannych. Pomiedzy tymi byli następujący oficerowie: podchorąży Krzywonos Jan (ranny), podporucznik Bittner Ludwik (ranny) i podporucznik Biestek Stefan (ranny).

Nad ranem zginęła także młoda, bohater-ska dziewczyna, która pełniła służbę sanitaryusza w trzecim batalionie. Nazywała się Marya Błaszczykówna, pochodziła z Łodzi, w szeregach znana była pod pseudonimem Zaleskiego. Opatrując rannego, padła, ugodzona kulą w głowę.

Kiedyś wszyscy znużeni usnęli wreszcie nad ranem, zbudził nas gwałtowny ogień artylerii austriackiej i niemieckiej. Po raz pierwszy w życiu mogłem z tak bliska obserwować działanie ciężkich armat. Nieraz z rozmaitej odległości obserwowałem pękające pociski. Mimo woli przypomniło mi się porównanie, że wy-

gląda to tak, jakby ktoś, paląc cygaro, wypuszczał powoli leniwe obłoczki dymu. Wyglądały wtedy tak niewinnie, jak małe, wełniste chmurki, zwane „barankami“, które włóczą się po niebie w upalne, letnie dni. Ale tu widziałem zupełnie coś odmiennego. Rude zwoje dymu wybuchały nad lasem, rozprężając gwałtownie swe potworne cielska. Zdawało się, że gromady wiedźm niesamowitych zawisły nad lasem, dotykając do ziemi fałdami szat postrzępionych. Zdawało się, że jakieś okrutne przekleństwo ukazuje tam, w welonach dymu swoją okrutną, złowrogą twarz. Jakby na jedno skinienie rozgniewanego boga padły olbrzymie pociski na skraj lasu, gdzie silnie umocnione pozycje rosyjskie stanowiły poważną zaporę w kierunku Styru. Granaty rozdzierały drzewa i podcinały je, jakby jednym uderzeniem topora. Olbrzymie słupy ziemi wylatywały raz po raz w powietrze. Las zdawał się drżeć w posadach i jęczeć głucho.

Niebawem odezwały się armaty rosyjskie. Był to niejako pierwszy rekonęsans lekkiej artylerii nieprzyjacielskiej! Szukano nas, szukano przede wszystkim, wedle wskazań taktyki rosyjskiej, linii rezerw, aby je gwałtownym ogniem osłabić, zdemoralizować i do wszelkiej akcji zniechęcić! Przez długi czas pociski padały albo daleko przed nami albo daleko za nami. Wreszcie poczęły się zbliżać powoli, ale nieuchronnie. Koło południa artyleria rosyjska miała nas jak zwierzynę na wizyerze. Odłamki granatów i kule szrapnelowe świstały blisko, zegary wpadały do środka, perkocząc, jak ptaki olbrzymie.

Mimo to wszystko jednak ten pierwszy ogień artyleryjski nie przyniósł nam prawie żadnych strat. Równie nieszkodliwym okazało się także i działanie ciężkich armat rosyjskich, które rozpoczęły swój koncert popołudniu i pracowały niezmordowanie aż do wieczora, kiedy to drugi pułk po raz pierwszy próbował atakować tę tak ważną pozycję rosyjską.

Atak nasz poprzedziło przygotowanie artyleryjskie. Dziewięćdziesiąt sześć armat austriackich i niemieckich grało skoncentrowanym ogniem w naszym odcinku. Potężny pojedynek dział przyniósł wszystko swoją żywiołową siłą. Artyleria nasza atak przygotowała, rosyjska pragnęła go zdusić w zarodku. Powietrze pełne było metalicznego brzmienia mknących pocisków, które krzyżowały się po środku przestrzeni, obejmującej zaledwie kilkaset kroków. Wybuchy następowały tak blisko, że nie mo-

żna było odróżnić ich przynależności. Blisko nas padały odłamki granatów własnej artylerii. Niektóre pociski nadlatywały z tak znacznej odległości, że nie było słyszeć huku wyrzucającej je armaty. Tylko przeraźliwy wizgut, który wylaniał się tajemniczo z dalekiej przestrzeni, zdradzał ich lot.

Wreszcie nastąpiła chwila ciszy i ozwał się gwałtownie szybki grzechot karabinów. Przy tym akompaniamencie dwa bataliony drugiego pułku ruszyły do ataku. Pierwszy ten atak wykazał starą wartość naszego żołnierza w nowych odmiennych warunkach. Ogień ciężkich dział nieprzyjacielskich nie osłabił jego inicjatywy ani zuchwałej odwagi. Tego samego dnia wieczorem mimo gwałtownego ognia posunęliśmy się o kilkaset kroków naprzód i tutaj zaczęliśmy się okopywać. Skoro jednak ani prawe ani lewe skrzydło działania naszego nie poparło, oba bataliony drugiego pułku, które znajdowały się już na drodze wiodącej do Podgacia, cofnęły się na rozkaz pułkownika Januszajtisa aż do dawnych stanowisk. Z zeznań jeńców rosyjskich dowiedzieliśmy się potem, że Rosjanie, przewidując nasz atak, zgromadzili w lesie potężne rezerwy, które miały nas odeprzeć i kontratakiem wyrzucić z zajętych dnia poprzedniego pozycji.

Podczas tego pierwszego ataku ciężka artyleria rosyjska ostrzeliwała niezmordowanie nasze pozycje rezerwowe, gdzie nie było nikogo prócz ordynansów oficerskich i kilku sanitariuszy. Z tych ostatnich zginął wówczas Bogdan Konturek, zasypany ziemią od wybuchającego granatu.

Po południu zostali ranni: kapitan Dziekanowski Karol, komendant drugiego batalionu i porucznik Stefan Wyspiański.

Nastąpiło kilka dni względnego spokoju. Korzystając z tego, pracowali niezmordowanie nasi telefoniści i pionierzy. Pierwsi naprawiali ustawicznie psującą się linię telefoniczną i przeprowadzali nowe połączenia — nieraz pod gradem kul. Podczas takiej właśnie pracy ranny został ciężko telefonista Grochał, żołnierz znany z nieustraszonej odwagi. W tym czasie zginął też chorąży hr. Tyszkiewicz Leopold, oficer dzielny i powszechnie lubiany towarzysz. Pionierzy budowali rów dobiegowy do wsi Bielgowa. Ten rów dobiegowy był największą, najpilniejszą naszą potrzebą. Pozycje nasze nie miały żadnego dostępu. Kto się usiłował do nich zbliżyć lub je opuścić, ten musiał pomykać, tak jak pomyka zając w kotle przed my-

śliwymi. Żołnierze rosyjscy mogli mierzyć spokojnie, ukryci w lesie, jak na stanowiskach. Żywiliśmy się zimnemi, zapasowemi konserwami, nie mieliśmy papierosów ani chleba. Na szczęście rów dobiegowy został szybko wykopany. Nasze kuchnie mogły raz na dobę późnym wieczorem podjeżdżać do jego wylotu, gdzie już czekali żołnierze chciwi gorącej strawy. W dzień droga prowadząca z Lisowa do Bielgowa była tak gwałtownie ostrzeliwana przez artylerję rosyjską, że tylko pojedynczy jeźdźcy lub piechurzy mogli się po niej przemykać. Nawet w nocy nasze kuchnie polowe musiały przebywać błotnistą drogę, gasząc paleniska i wystrzegając się każdego głośniejszego zakłócenia ciszy.

Artylerja rosyjska bombardowała także Bielgów i Hutę Lisowską. Nasza artylerja pułkowa i miejsce opatrunkowe były nieraz poważnie zagrożone.

Tak nadeszła noc siódmego listopada....

Tej nocy o godzinie czwartej nad ranem pułk nasz nie z własnej winy zaatakowany został przez przeważające siły rosyjskie od tyłu. Piąty i szósty pułk strzelców rosyjskich, oraz część czternastego przeszły bez wystrzału linię bojową na prawem skrzydle i nie zdradzając się niczem, podeszły do naszych pozycji z przeciwnej strony. Nikt się podobnego obrotu rzeczy nie spodziewał i spodziewać się nie mógł. Wszystkie nasze ubezpieczenia: patrole, podruchy i placówki, wysłane zostały, jak zwykle naprzód, w kierunku nieprzyjaciela. Dwie kompanie, jako rezerwa, nocowały we wsi Bielgowie. Pierwszy batalion, który dotychczas znajdował się w odległości kilkuset kroków za naszymi pozycjami, został niedawno przeniesiony w odległy odcinek. Wszystko jakby się na nas sprzysięgło. Ciemne masy żołnierzy rosyjskich ukazały się nagle z tyłu pod samymi okopami i dopiero wtedy z okrzykiem „hurra“ wpadły do środka. Ten okrzyk niespodziewany jak grom rozdarł ciszę nocną i porwał prawie wszystkich na nogi. Ale było już zapóźno. O jakiejś zorganizowanej obronie i walce nie mogło być mowy. Każdy był zostawiony na grę szczęścia i przypadku, każdy własnemu oddany instynktowi. Różny był też los zaskoczonych z nienacka żołnierzy i oficerów. Jedni napadnięci we śnie, zanim oprzytomnieli, byli już otoczeni obdarci i obrabowani. Nie mogli nawet zginać w nierównej walce, choć wszyscy tego gorąco pragnęli. Drudzy z bronią w rękę

torowali sobie drogę wśród zwartej masy wroga i najczęściej przebici bagnietem marli na miejscu. Inni rozpierzchli się na wszystkie strony, szukając ocalenia w ucieczce. Żołnierze rosyjscy byli już wszędzie, szukając jeńca i zdobyczy. Niektórzy z nich z uśmiechem dobrotliwym i zadowolonym wołali tonem pojednawczym: „Nu zdawajsia brat, niczewo nie podiełajesz!“

Cofano się przeważnie na oba skrzydła. Największa ilość żołnierzy biegła w stronę okopów drugiej brygady niemieckiej, która, usłyszawszy wystrzały i zmieszany jazgot głosów stanęła gotowa do walki. Cofający się legioniści ujrzeni spokojne, nieruchome postacie żołnierzy niemieckich, którzy czekali hasła. Ale tuż za naszymi biegły jak gromady ogarów, kupy żołdactwa rosyjskiego, upojonego powodzeniem. Niemcy, nie mogąc otworzyć ognia karabinowego, chwycili za granaty ręczne. Przerzucali je ponad głowami legionistów w szeregi rosyjskie, które zmieszane zatrzymały się i zawróciły wreszcie tam, gdzie się im już udało przerwać naszą linię.

Część trzeciego i drugiego batalionu była uratowana, nie mogła jednak wziąć narazie udziału w dalszych wypadkach tej nocy.

Tymczasem inni biegli rowem dobiegowym w stronę Bielgowa, często pomieszani z żołnierzami rosyjskimi, którzy nie mogli odróżnić w ciemnościach, kogo mają obok siebie. Był tu i pułkownik Januszajtis. Przed chwilą jeszcze kilku żołnierzy rosyjskich, trzymało go w mocnym ucisku, usiłując zabrać do niewoli — ale pułkownik Januszajtis jednego ustrzelił z mauzera, drugich odepchnął i wydostał się na drogę, prowadzącą do wsi. Tam garść żołnierzy i oficerów, którzy się przy nim skupili, pomnożył o dwie słabe, rezerwowe kompanie i oddział pionierów. Na czele tych sił niemieckich, zwartych i nie zdemoralizowanych pułkownik Januszajtis nie namysławiając się ani chwili razem z kapitanem Łukowskim (Orlikiem) wykonał pierwszy kontratak. Został odparty i zaatakował znowu. Odrzucony po raz wtóry, cofnął się aż do Huty Lisowskiej, skąd, wzmocniony trzynastym szwadronem huzarów węgierskich, uderzył trzeci raz. Było coś rozpaczliwego w furii tego ostatniego kontrataku. Przeważające siły rosyjskie nie mogły powstrzymać natarcia. Żołnierze uderzali z wściekłością, płacąc krwawo za chytry podstęp. Wreszcie nieprzyjaciel cofnął się w popłochu, zostawiając w naszych rękach liczne jeńca. Utracone pozycje zostały wydarte tym, którzy je za swoją

uważali własność. Pułkownik Januszajtis, który z goryczą w sercu patrzył na rozproszenie swoich starych, wypróbowanych żołnierzy, uniósł z tej nocy, pełnej ciężkich doświadczeń, niesplamiony honor polskiego żołnierza. Dowiódł, że nieprzyjaciół, który uzyskał początkowo tak niesłychaną nad nami przewagę, nie mógł sprostać w otwartym boju garści zdecydowanych na wszystko żołnierzy. Gdyby w tej chwili przynajmniej pierwszy batalion naszego pułku znajdował się pod ręką, losy tej nocy mogły jeszcze przybrać nieoczekiwany obrót.

Rosyanie, odparci aż do swojej pierwotnej linii, próbowali atakować znowu tej samej nocy. W szarzącym świetle bladego poranka widać było znaczne siły nieprzyjacielskie, wynurzające się ze skraju lasu. Ale tym razem wyręczyła nas artyleria. Nakryci stalowym dachem mknących pocisków, żołnierze nasi z uśmiechem krwawego zadowolenia patrzyli na bogate żniwo ognia działowego. Pękające szrapnele uczyniły jeden wielki obłok, który rozsiewał się szeroko wśród mglistych oparów porannych. Granaty wyrzucały w górę słupy ziemi, wierciły bruzdy w szeregach rosyjskich, opasując je śmiertelnym kołem. Po kilka razy wynurzały się z lasu głębokie, wzmożone linie tyralierskie i zawsze cofały się zmieszane, strwożone. Wreszcie znikły na zawsze w sienie czeluści drzew.

Tak więc atak rosyjski, który odbywał się w niezwykle korzystnych warunkach, spełził na niczem. Pomnożyły się tylko straty, wzmożła się nieufność w zwycięstwo.

Jest pewnem, że w powodzeniach, które niebawem na całej nastąpiły linii, zawierał się niewątpliwie i nasz sukces moralny.

Noc z siódmego listopada jest strasznym wspomnieniem tylko dla nas—dla nas, którym na myśl o niej jawią się twarze zaprzepaszczonych i zabitych towarzyszy. Ale w znaczeniu ogólnie strategicznym był to tylko jeden epizod walki, uwiecznionej mimo strat poważnych bezwzględnie powodzeniem.

Lista strat oficerów w zabitych, rannych i wziętych do niewoli przedstawia się następująco:

Podporucznik Tałasiewicz Władysław (ranny), chorąży Nowicki Władysław (zabity), chorąży Kostmanowicz Michał (ranny), chorąży Minkowski Anatol (ranny), podchorąży Witkowski Tadeusz (ranny), aspirant oficerski Królikiewicz (ranny), podchorąży Obrochta Bartuś Józef (zabity), chorąży Hofbauer Zygmunt (w niewoli), porucznik lekarz drugiego batalionu Dr. Matczyński (w niewoli), chorąży Zych Jan (w niewoli), kapitan, komendant trzeciego batalionu Trojanowski Jerzy (w niewoli), chorąży lekarz trzeciego batalionu dr. Bobak Stefan (w niewoli), podchorąży Sokół Bolesław (w niewoli), chorąży Faix Franciszek (w niewoli), chorąży dr. Kielbiński Adam (ranny), chorąży Kulczyński Leon (zabity), podchorąży Smajek Józef (ranny), podporucznik komendant karabinów maszynowych trzeciego batalionu (ranny w niewoli), porucznik adjutant trzeciego batalionu dr. Szalit Edmund (zabity), podporucznik komendant pionierów Durski Zygmunt (ranny), Druga sanitaryuszka panna Kepiszówna dostała się również tej nocy do niewoli.

Na pobojoisku przez długi czas jeszcze słychać było rozpaczliwe jęki i wołanie o pomoc ciężko rannych. Leżeli pomiędzy naszymi a rosyjskimi pozycjami i nie mogli doczołgać się ani w jedną ani w drugą stronę. Ustawiczny ogień przeszkadzał w niesieniu im pomocy. Tylko ciało Szalita udało się znaleźć gdzieś daleko od naszej linii. Ranny w okolicę brzucha, miał przerwana arterię i zginął z upływu krwi. Przyniósł go patrol oficerski, który wyruszył następnej nocy z pułkownikiem Januszajtisem na czele.

Przez długi czas jeszcze znajdowaliśmy trupy poległych legionistów. Chowano ich w różnych miejscach, na samem pobojoisku, Bielgowie i na cmentarzu we wsi Huta Lisowska. Krzyże i napisy wskażą ich groby tym, którzy tu może po wojnie przybędą szukać drogich śladów.

St. Dzikowski



Szare Roty

Nam nie szumią nad głową sztandary,
ni proporce na wicherze rozwiane —
chyba czasem zaszumi bór stary,
chyba wichry na polach zbłąkane
tryumfalne nam wieją fanfary!

Nam nie grają trębacz surnowi,
ani kotły nam biją zwycięstwo...
Na ugorach — wśród sinych pustkowi —
śmierć jest cicha, i ciche jest mgstwo —
i grób cichy — u mszystych węzłowi...

Ani jasne nam w słońcu lśnią groty,
ani mundur zabłyśnie jaskrawie...
Idziem — szara kolumna piechoty —
Wędrujące w odlotach żórawie...

Jeno sen nasz jest cudny, sen złoty,
sen Wolności — co marzy się w Sławie!..

Jabłonka borowa, w październiku 1916

*Józef Mączka
chorąży*

POD GRUZIATYNEM

(Fragment z mego notatnika)

Nieprzyjaciół całą mocą napiera. Wysyła pułk za pułkiem, naciska masą, przed każdą swą kompanią ma karabin maszynowy, na drzewach obserwatorów, za swą linią gęstą sieć dział, które ostrzeliwuje intensywnie nie tylko naszą linię, ale i kilkumetrową przestrzeń za nią. W ciągu dwudziestokilko-miesięcznego pobytu na froncie, byłem świadkiem niejednego przygotowania artyleryjskiego. Ale tak denerwującego jak pod Gruziatynem nie widziałem. Ogień rozrzućkowy obejmował nie tylko wszystkie drogi dobiegowe, ale rozsypywał się w głąb nieregularnie, nieobliczalnie; granaty, gdyby ogniście piłki, na wsze strony ciskane, ryły się we wrzasy, rozłupywały konary, dudniły po lesie, w którym w ogóle ogień armatni stokroć potężniejsze wywołuje wrażenie niż na otwartym terenie.

20 czerwca ledwo świt poczyna się akcja. Jesteśmy w rowie strzeleckim, płytkim i nieochronionym, o kilkaset zaledwo kroków od nieprzyjaciela, forsownie napierającego na linii strażów, które, jak uprzykrzone osy, brzęczą dokoła. Jakże trudno tu wydawać zlecenia, pisać dyspozycje! Już jeden z naszych jeźdźców meldunkowych ugodzony w naszych oczach złomem granatu; już obok kasety pada jeden z telefonistów, rażony momentalnie kulą w czoło. Z całej linii dochodzą meldunki: ciężko jest, przemoc! Nieprzyjaciół skrajami bagien obchodzi linię, prowizorycznie obwarowaną i nieprzejrzystą i nieszczelną, bo bagnami poprzegradzaną.

Sytuacja stawać się poczyna coraz krytyczniejszą.

Wtedy pułkownik Januszajtis jednym rzutem rozwiązuje sytuację.

Batalion Orlika Łukoskiego jest na linii; za nim stoi pierwszy batalion 2-go pułku, który właśnie przyprowadził Januszajtis. W mig zorientowawszy się w sytuacji, nie czekając wyższych rozkazów, z własnej inicjatywy i tą przedziwną, precudowną kierowaną intuicją, która temu żołnierzowi per excellence każe wyczuwać i dziury na ciele wroga i sposób zaradzenia każdej własnej skomplikowanej sytuacji — Januszajtis porywa za sobą dwie kompanie — por. Kruka i Romaniszyna — i idzie do kontrataku... *Obstupuere omnes...* Inaczej bo tej, wprost swą zuchwałością zdumiewającej, brawury nazwać nie można! Zewsząd napierają Moskale, pod ochroną wściekłego ognia wnikają już w naszą linię, mają nadzwyczajne udogodnienia terenowe, bo sami oparci o okopy spychają nas do bagien — a tu Januszajtis wypadem swym miesza ich szyki, zmusza do natychmiastowego wycofania się, z miejsca przeobraża obraz sytuacji: ofensywa rosyjska na nasz odcinek zmienia się w defensywę, naciskający muszą się bronić... Oczywiście, ten lokalny sukces wypadu Januszajtisa obejmuje swym znaczeniem cały odcinek: i na ten dzień i na następny Moskale zaprzestają ataku; inicjatywa przechodzi z ich rąk w nasze.



Chor. Konstanty Majewski



Podpor. Dr. Edm. Szalit



Por. Jan Łysek

Oto znaczenie i rezultat samodzielnego wypadu pułk. Januszajtisa.

Niestety on sam, jak zwykle na czele atakujących, dostaje strzał w nogę i musi ustąpić z pola. Przez dwa lata igrał z ogniem, urągał kulom, myślał zawsze o niebezpieczeństwach powierzonego mu oddziału a nigdy o swem własnem, powiadał, że w rosyjskiej fabryce broni jeszcze kulka dlań nie ulana — aż pod Gruziatynem nań kolej przyszła... Zła kula, co go nam na pewien czas zabrała; dobra, bo go tylko lekko raniła...

I tu okazała się wytrawność naszej młodej organizacyi. Bo ledwo pułkownik ranny zjechał z pola, już w jego miejsce wskoczył kapitan Orlik-Lukoski, by z niesłabnącą energią i zadziwiającą mocą rozkazodawstwa dalej pułk prowadzić.

Sytuacja bowiem, mimo szczęśliwy wypad, nie przestawała być ciężką. Przed kontratakiem Januszajtisa bowiem nieprzyjaciół, korzystając z nieprzejrzystości terenu, wdarł się dwoma klinami. Jeden, najważniejszy, odbił tak skutecznie drugi pułk — druga, cienka, prawie niewidoczna smuga nieprzyjacielska, wsączając się przez naszą linię, dochodziła do miejsca postoju komendy Brygady. Nagle: na trzydzieści kroków od nas Moskale! Mielśmy wtedy przy sobie jedną tylko kompanię rezerwową i tę, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, pchnął w lukę kapitan Tarabanowicz, szef sztabu Brygady. Na kilkadziesiąt kroków podeszli Moskale, widzieliśmy ich opodal nas i widzieliśmy się w więcej jak krytycznej sytuacji — a jednak i tu im położono zaporę i tu ich przepędzono!

Dzień ten pozostanie jedną z najpiękniejszych kart w dziejach II-ej Brygady. Kontratak drugiego pułku sparaliżował zapędy rosyjskie, przysporzył nam kilkuset jeńców; zdobyto karabin maszynowy; front został wyrównany i co najważniejsze: z obrońców staliśmy się atakującymi.

Miało to być dziełem następnego dnia. Już pod wieczór przyszedł rozkaz ataku.

W rowie przydrożnym, w skraju polany leśnej, spędzamy noc, rozsiadłszy się dokoła aparatu telefonicznego, zajęci meldunkami, dyspozycjami. Jesteśmy w sferze ognia i trudno tu pracować. Lecz jeszcze trudniej gotować się do boju tym o kilkaset kroków przed nami. Bo nieprzyjaciół, dziś odparty, jakby wietrzył nasze jutrzejsze zamysły i nie tylko przedpole, linię i wszystkie drogi dobiegowe obrzuca po-

ciskami armatnimi, ale i przez całą noc ostrzeliwuje się, nie daje zmrużyć oka.

Ledwo ujawiły się blaski słoneczne roz-wiera się piekło przed nami. Poszum wielki idzie po lesie i świsty kul, chlastających gałęzie i skowyty granatów, lecących za linię i dudnienie karabinów maszynowych, których nadmiar Moskale ustawili.

Przez to piekło przedziera się kapitan Orlik z drugim pułkiem. Nic to, że wściekły ogień. Legioniści idą naprzód! Nic to, że w poprzek zdradne bagna i moczary. Legioniści po brzuch zapadają się w wodorostach i idą naprzód! Już doszli podle okopy nieprzyjacielskie; wywiązuje się walka na granaty ręczne, na bagnety. Moskale w popłochu się cofają, szyki ich mieszają się.

Lecz oto w tym kulminacyjnym momencie ataku z boku poczynają klekotać karabiny maszynowe. Legioniści mają odsłonięte flanki i stoją pod sieją kul. Ani na chwilę linia nasza nie drgnęła, choć spustoszenia w niej już wielkie. W największym porządku ustępuje drugi pułk na swe pozycje, zadając przytem nieprzyjacielowi poważne straty. Mimo korzystnej swej sytuacji wróg nie śmie następować i trwa w swem znieruchomieniu jeszcze długo, bo od 21 czerwca do 30 czerwca, jak długo drugi nasz pułk wraz z komendą Brygady stały pod Gruziatynem, tą marną wioszczyną, o której zarówno nasze komunikaty jak i rosyjskie tyle miały do powiedzenia.

* * *

Zwycięstwo pod Gruziatynem, sukces powstrzymania zapędów wroga, zostały okupione krwią serdeczną.

W skwarne lato, w ciszy letniego południa — głosi mitologia starosłowiańska — chadzała polami Przypolnica i kosiła niemrawych, o życie przyprowadzała nieruchających się, zażywających, gdy czas robót, wywczasu...

Kiedyś legenda opowiadać będzie o Przypolnicy, co to kosiła tych właśnie, co się najbardziej ruchali, co nie znali słowa wywczas, wypoczynek, bezruch, beczyn.

Ach, iluż już złożyliśmy w II-ej Brygadzie w ofierze Przypolnicy!

Takie drogie, miłe postaci jak chorąży Gołęb, druż miły, serce pełne żaru — co to nam legł na przedpolu, wiodąc swój pluton w bój, a rażony w chwili zwycięstwa swego oddziału...

Kazimierzu Kapalka, cichy pedagoga, którego ciało złożyliśmy w uświęconem męczenn-

stwem „campo santo“ Chelmu... Pamiętam ostatniej Nocy Wigilijnej, gdy po północy zeszliśmy się podłe drutów kolczastych, siedli na obrzeżu rowu, patrzeli w roziskrzone niebo i opalizujące śniegi, wsłuchiwali się w ostrze-
liwania się placówek — a tyś na głos marzyć począł, jak to kiedyś zawód nasz nauczycielski wykonywać będziemy inaczej... gdzieindziej... Jakiś swym cichym, kojącym głosem wypowiadał hasło przebudowy charakterów, przetapiania serc w przyszłej organizacji szkolnictwa narodowego. Ty biedny suplencie krakowskiego gimnazjum — coś zginął jako rycerz polski u granic...

A ta pięćdziesiątka bezimienna, starzy żołnierze II-ej Brygady, polegli pod Gruzjatyńcem. Nazwiska Wasze przejdą do listy strat, do złotej księgi tych, którzy zaszczyt mieli poledz dla Sprawy. Znowu o kilka kart nabrzmiewa nasza złota księga... Przebyliście drogę przez Pantyr,

przez karpackie przełęcze, całą Huculszczyznę, kroczyliście szlakiem rycerzy Wołodyjowskiego na pograniczu Wołoszy, trzebiliście wroga z jarów besarabskich, strzeegliście granic etnograficznych polskich, grzęznąc w mokradłach i uroczyskach poleskich, przez dwa lata staliście, wy-szarzy, bezimienni żołnierzykowie, na froncie podwójnym — bo i przed nieprzyjacielem i na czele narodu... Stapia się garstka tych, co przed dwoma laty z Krakowa wyszli, co wszystko przetrwali. Mnożą się mogiłki. Lecz rośnie prawo. Prawo, oparte na ofiarach, na dowodach czynu; na okupie krwi. Zmartwiało znów pięćdziesiąt ciał młodych, zwiększając zarazem ten pomost, rzucany przez młodzież narodu ku przyszłości, ku celowi...

Wy, którzyście w głębi kraju i którzy przejdziecie po tym pomoście — pogłębiajcie w sobie poczucie, z jakiego materiału on był zrobiony...

Bertold Merwin
porucznik

DWÓR OPUSZCZONY

(Fragmēt z ostatnich walk)

Zawarła się nad głowami naszymi przepyszna aleja zapuszczonego, staroświeckiego parku... Miły chłód, pomieszany z wonią przekwitających lip, musnął nas delikatnie po rozpalonych policzkach...

Był zachód... Za nami pławiło się niebo we krwi, przepalając ją w ostatnich promieniach tonącego słońca w ciemny fiolet... Błękit nieba rozpięty nad nami — ciemniał powoli, zasnuwając się subtelną seledynową tkaniną zmierzchu...

A zmierzch płatał się już dołem i motał swą sieć misterną wśród staroświeckiego parku, który stał zadumany, nieruchomy w przedwiecznej ciszy...

Zatrzymano nas w alei i zawezwano komendantów kompanii na odprawę do dworu...

Naówczas już ucichła była walka przed nami... Zniknęły nam z przed oczu gęste tumany czarnego dymu pękających granatów i białe obłoczki szrapneli. Głuche, jednostajne porykiwanie dział zatracało powoli swą miarowość, rwało się — cichło...

Staroświecki park tonął w wczesnym zmroku lipcowym... Jeszcze nie rozpalili się nad

nim gwiazdy — jeszcze nie rozsnuł się po nim opalowy smug miesiąca...

Przemęczeni żołnierze pokładli się w cienistej alei cicho, bez słowa...

Nieprzeparta ciekawość pchnęła mnie pod dwór... Przeszedłem cicho aleją — okrążyłem szeroki gazon i znalazłem się przed dworem... Na ciemnym tle zieleni pięknie odrzynały się kontury białego dworu o typowym, staroświeckim podsieniu... Dwór osiadł nieco ku ziemi, — wyżej nad nim zielonym namiotem spięły go rozłożyste korony, sięgając zwieszającą się gałęzią okno bocznej facyatki.

Dwór opuszczony — milczący. W jednym tylko, narożnym oknie płonęła lampa. Tam brygadyer Haller dawał instrukcje komendantom pododdziałów.

Szerokie weneckie okna były ciemne — gościnne drzwi frontowe naosćcież rozwarte ukazywały się głęboką i ciemną... Sprawiało to wrażenie, jakby drzwi rozwarto na witanie...

Mimowoli przystanąłem przy nich — jakby w oczekiwaniu, że oto za chwilę rozbłyszczą światła w oknach — dwór ożyje — a po schodach zbiegnie witający gospodarz...

Ale dwór stary milczał...

Więc mi czegoś zagnała poczęło tu brakować do pełnego obrazu... Moje słowa jakiego... może ruchu...

Ten park cichy, zaniedbany i ten biały stylowy dwór pański, pusty?

Przypomniało się myślom — że w starych dworach duchy żyją... Jakież tu są duchy... jakie...

Przez rozwarte drzwi wszedłem do sieni, zaczęłam śmiało już, bez wahania szarpnąłem ciężkie dębowe drzwi... Zaskrzypiały — jakby zdziwione — i znalazłem się we wnętrzu... Jeden krótki, oślepiający błysk latarki i w tej chwili odnalazłem, czego szukałem...

Ze ściany bielonej... z wzorzystego kilimu spojrział ku mnie z wyblakłego sztychu Naczelnik...

Dwór był opuszczony — ale nie pusty...

* * *

Pospiesznym marszem posuwaliśmy się w kierunku stoczonych niedawno bitwy. Ciemna, nieprzenikliwa noc słała się już po polach — żrała zbożem szumiących — i obejmowała nas martwą ciszą... Przed nami z obu stron drogi płonęły dwie wioski: Sielce i Korsuń...

Linia przed nami była przzerwana i rozdarta... Należało odszukać pokrwawione skrzydła — nawiązać z nimi i osłonić im odwrót na wyznaczone uprzednio stanowiska... Polami błakały się drobne oddziały naszych ułanów, które napróżno szukały poszarpanych skrzydeł.

Na skrzyżowaniu dróg polnych zatrzymał swój pułk kapitan Szczepan. Obrona węzła dróg padła na batalion I-y. Dwa pozostałe bataliony rozwinęły się w lewo, nawiązując z oddziałami bawarskiej piechoty...

Zajęliśmy pozycje wzdłuż drogi biegnącej w kierunku płonącej wsi Sielce, wysunawszy placówki i posterunki obserwacyjne daleko przed linię. Skrzydła batalionów, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, wisały, utrzymując z sobą tylko łączność pośrednią... Daleko w kierunku prawego skrzydła wysunął się z $\frac{1}{2}$ komp. 4-tą ppor. Grechowicz w stronie wąskiej ścieżyny polnej.

Wysłane patrole nawiązały wreszcie łączność ze skrzydłami austriackiej linii... O godzinie 2-iej w nocy miał się rozpocząć odwrót... Po wycofaniu się ostatnich oddziałów austriackich mieliśmy rozpocząć powolny odwrót w kierunku opuszczonego dworu.

Długie nieskończenie godziny czekania... Gdzieś na skrzydłach naszych co chwila krót-

ka, gwałtowna strzelanina... Od czasu do czasu biją porozrzucane w polu nasze baterie... Na ciemnym niebie płomienne półkole zataczają rakietę...

Przed nami martwa cisza... Kładzie się na myśli utrudzone niewypowiedzianym ciężarem... wtłacza je, wpycha w obolały mózg...

Ospale, ociężale dźwiga się pyzaty księżyc i po chwili kąpią się szczere pola w srebrnym jego świetle... Teraz na skrzydłach — niedaleko nas słychać urywane strzały — krzyki jęki... Raz wraz gromkie „urra!“ przerywa ciszę...

Czekamy ciągle... Wreszcie poczynają maszerować drobne oddziały węgierskiej piechoty... Idą cicho — w milczeniu... Mijają nas... giną w mroku...

O g. 3-iej w nocy melduje się ostatni patrol kawaleryjski... Już nie dotarł nawet do okopów — w połowie drogi otrzymał ogień...

Ostatni czas się cofać. Nadchodzi rozkaz...

Tymczasem na wschodzie już niebo lekko różowi świt... Ciemny szafir jaśnieje — przeciera się — rozrywa w szerokie pasma, krajem lekko - różowawe. Orzeźwiający wietrzyk raz i drugi zakolysał szeleszczącym zbożem.

Czas... czas...

Kompanie schodzą na drogę i maszerują w powrotnym kierunku do lasu, położonego w odległości kilometra od dawnego stanowiska... Tu na chwilę jeszcze rozwijają się bataliony 3-go pułku, chcąc dać czas 2-mu pułkowi, by zajął pozycje pod wsią...

Tęgim kłusem zjeżdża ostatnia placówka ułańska i melduje poruszenie u nieprzyjaciela... Porozrzucane w polu pikietę kawaleryjskie ściągają powoli w umówione miejsce...

Teraz czas i na nas... Kapitan Szczepan zarządza zbiórkę i odwrót w kierunku W

Mijamy las — zaczęłam już maszerujemy prosto drogą... Skrajem pola zjeżdża kłusem ostatnia bateria połówek...

Nagle za nami tętent — krzyk jeden, drugi... i w ciszę świtu pada rozgłosnie salwa... Kawaleryja nasza starła się z nieprzyjacielem...

Już kapitan Dziekanowski — chwilowy komendant 2-go p.p. opasuje szarą tyralierą staroświecki dwór... już na skrzydle zatrzeszczały suchy — groźne karabiny piechoty. Na pole wpada cwałem ostatnia bateria — odprzodkujemy i otwiera szybki ogień.

Jednocześnie z opłotków wsi wyskakuje szwadron za szwadronem naszych ułanów i rozsypuje się po polach w barwną tyralierę...

A wieś tuż... tuż... Już stoi w ogniu... Płoną dworskie zabudowania, a dym nieprzebranym zwojem kryje ruchy piechoty...

* * *

Wchodzimy w staroświecki park... Wysokie drzewiny stoją nieruchome z grozy, zapatrzone w płonące zabudowania... Stuk siekier chodzi po parku... Saperzy oczyszczają pole

obstrzału... Walą się z głuchym pojękiem wybuchające, stare drzewiny...

W pewnej chwili, skoczyłem do dworu i przez drzwi dostałem się do sieni... Szarpnąłem nerwowym ruchem drzwi dębowe...

Ze ściany bielonej — z wzorzystego kilimu spojrział ku mnie raz jeszcze z wyblakłego sztychu Naczelnik, pozostający do końca na straży opuszczonego dworu...

W polu — wrzesień 1916 r.

Józef E. Szarzyński

NOC W WIELICKU

Z notatek kapelana

Późnym wieczorem po męczącym całodziennym marszu w skwarny dzień lipcowy czoło kolumny 3-go p. zatrzymało się w pięknym starym parku przed dużym staropolskim dworem. Zmęczony marszem żołnierz odpoczywał na strzyżonych trawnikach parku i wzdłuż długiej cienistej alei, we dworze obradował sztab i wezwani po rozkazy oficerowie nasi.

Zdenerwowanie, którego objawy były liczne, wskazywało, że sytuacja pomyślna nie jest. Wiedzieliśmy, że moskale przerwali linię bojową, że prą naprzód, lecz w jakiej sile, czy przerwane oddziały opierają się czy nie, było niepewne. Trzeba było skrócić front i zająć nową linię obronną. Zadanie to pełnić miała druga nasza brygada piechoty i brygada naszych ułanów.

Walka była nieunikniona. Poszedłem do żołnierzy. Wypoczywając, opowiadali epizody walk ostatnich, nie przeczuwając, co czeka ich za chwilę. Trudno mi było przemawiać do wszystkich, za wielką dwa pułki zajmowały przestrzeń. Przemówiłem do poszczególnych kompanii. „Żołnierze, walka przed Wami. Czy wrócimy zdrowo z niej wszyscy, wie jeden Bóg. Jeszcze chwil parę macie do wyruszenia. Spójrzcie w duszę waszą, policzcie się z sumieniem. Przechodzącym oddziałom dam rozgrzeszenie. Pamiętajcie o rannych, by nikt nie

został“. W szeregach zapanowała cisza. Do walki zachęcać żołnierza naszego nie trzeba, ożywiony on zawsze duchem ofensywy, długiej bezczynności nie lubi.

Za chwilę pustoszeje dwór, wychodzą komendanci batalionów, kompanii, spieszy każdy do swego oddziału. Za chwilę padają rozkazy, długa kolumna dwóch pułków rusza naprzód. Przechodzą koło mnie kompanie, kreślę nad nimi znak Krzyża Św., padają słowa rozgrzeszenia. — Silniej serce bije, żal tej młodzieży, co idzie w noc ciemną, przez nieznany teren, by walczyć, może zginąć. Czy choć wrócą wszyscy? Przeszedł pułk trzeci, za nim drugi.

Otrzymuję rozkaz — zostać przy placu opatrunkowym w lesie. Odchodząc, żegnam okiem wspaniałą dwór i stary park, dwór miał paść ofiarą ognia, park uleść zniszczeniu, by nieprzyjaciół nie znalazł oparcia.

Rano, po wschodzie słońca, wracały oddziały nasze. Spełniły po mistrzowsku powierzone sobie zadanie. Nieprzyjaciół zatrzymany nie śmiał atakować. Zajęto pozycje nowe. Dwór, cerkiew, wieś cała płonęły, przez morze ognia, w którym blade wschodzące słońce, maszerowały pułki nasze.

Przechodzące mimo, kompanie witały mnie uśmiechem i słowami: — „Ks. Kapelanie, wracamy wszyscy, nie brakuje nikogo.“

*Ks. Wiktor Kwapiński
kapelan 3 pułku Leg. Pol.*



N A D S

(Fragment z ostatnich dni)

Cichy, sierpniowy dzień...

Idę szarym, poczerniałym okopem, na który właśnie pierwsze liście pordzewiałe lecą... W górze nademną przedziwnie jasne niebo w wyłożonym płaszczu sierpniowego słońca, za mną pola poczerniały, poszarzały: tam i sam do połowy ledwie żłty zagon — tu i ówdzie snop poczerniały, niezwiązany wczas do stodół, marnieje w polu. Oto biała smuga przekwitającej gryki — oto ciemna zieleń chwastów kończyny — oto ledwie pierwsza bródka przedwcześnie pługiem zryta.

Wojna...

Staję w okopie, wychylam się z bastionu...

Przedemną — poza rzędami drucianych zasieków — szczyry szmaragd mokrej łąki — wązki, ciemniejszy pas szuwarów i sitowia — za czym już smuga czarna lasu, a za nią wzgórze puste w słońcu...

To — ziemia nie nasza, ziemia cudza, chociaż niejednym grobem naszym, niejednym krzyżem białym, brzoźowym znaczone...

Przez łąkę płynie rzeka... dziwna rzeka wołyńska — raczej strumień bagnisty, zarosnięty gęsto sitowiem — którą los uczynił chwilowo granicą walczących narodów...

O tę rzeczkę drobną, bagnistą — łąkę mokrą, pole smutne, poszarzałe — o ten snop jeden zbutwiełego żyta i o ten zagon, ledwie pierwszą przeorany bródka — walczymy od kilku tygodni.

* * *

Już w południe dnia 3 sierpnia rozszalała walka na dobre... Stare lasy, otaczające mrocznym pierścieniem pobliskie wzgórze, stanęły zmagły w ogniu... Rwały niemiłosiernie las olbrzymie granaty ciężkich rosyjskich baterii, siekły deszczem świszczących kul zakwitające białym obłokiem szrapnele. Walły się z głuchym pojękiem wybujałe drzewiny wołyńskie, gięły się i łamały wiotkie sośniaki na trzęsawych kępach wyrosłe.

Szalała burza...

Nieprzyjaciół atakował od świtu... Ciężkie pojęki dział zwały się już około południa w jeden przeciągły, piekielnie harmonijny grzmot, który przewalał się głucho mrocznym lasem wołyńskim... Szare kopulaste wzgórze, trzymane

przez nasz 2-gi pułk piechoty, od rana stało w ciemnym gryzącym dymie pękających raz wraz granatów — kryło się w nim i tonęło chwilami, niby płonący olbrzymi stóg w polu.

Wreszcie około południa naciągnięta struna naszych pozycji pękła... Brunatna ciżba nieprzyjacielskiej piechoty wbiła się klinem rozszczepiającym w pozycję sąsiadującego z nami 99-go pułku piechoty i zajęła cichy dworek M

Nad niedooranym zagonem i białą smugą przekwitającej gryki zawisała na chwilę groźna niepewność.

* * *

Zaalarmowany nasz pułk 3-ci stał już godzinę w lesie, oczekując rozkazu... Dochodziły wieści coraz groźniejsze... Linia ognia karabinowego cofała się gwałtownym półkolem na prawo... Postrzępione skrzydła pod naciskiem nieprzyjacielskich mas rozchodziły się coraz dalej, otwierając — niby ranę okrwawioną — wolną lukę na parę kilometrów...

Powietrze stało się duszne... ciężkie...

Wreszcie przychodzi oczekiwany rozkaz... Dwoma batalionami osłonić zagrożone skrzydło prawe drugiego pułku — 1-y batalion zatrzymać w rezerwie do ewentualnego kontrataku.

Rozwija się cudnie III-ci batalion i okupuje wzdłuż drogi P — C M podczas gdy II-gi batalion schodzi lasem na zagrożone najpoważniej wzgórze 182. Cofniętą w tym miejscu linię łąta z trudem kapitan Sokołowski.

Idzie w ogień pierwsza kompania 8-ma pod komendą ppor. Małkowskiego. Rozwiniętą tyralierę chwytają natychmiast nieprzyjacielska artyleria w zdradzieckie widły; ruchliwy cel wymyka się z nich co chwila i sunie odkrytem zupełnie polem ku opuszczonemu okopom, ku którym z przeciwnej strony zdąża nieprzyjaciół. Przeniesione przez rzeczkę — ukryte w gęstym sitowiu — trzeszczą głucho maszynowe karabiny. Dopadł pierwszy okopów z plutonem swoim młodzieńcy podporucznik Porwit i związał się z nieprzyjacielem ogniem.

A już śladem jego dobiegają inne kompanie — rozciąga się na nowo — jakby wskrzeszona — linia karabinów.

Tylko jeszcze na prawem skrzydle roz-
warta groźna rana.

Jest godzina 4-ta po południu.

Szara drogą leśną nadjeżdża brygadyer
Haller w miejsce, gdzie w świeżo zrytych
okopkach przyczaił się 1-y batalion 3-go pułku.
Jedzie brygadyer wzdłuż batalionu.

Z pod nasuniętych czap patrzą w niego
oczy żołnierskie. Wierne oczy żołnierskie. Toć
ten sam — Minkiewiczowski ongiś batalion —
co w pamiętne dni listopadowe krwawił pod
Pasieczną, smutny odwrót Mołotkowski kryjąc,
ten sam, co dni wiele, wiele w śniegu lutym
drogi Legionowej bronił, ten sam, co w noc
styczniową bagnetem zdradziecki napad odpierał,
ten sam, co dni siedem na śniegu i mrozie
w śmiertelnym tarzał się boju o posiadanie
Maksymca, ten sam, co w mrocznych lasach
niebysłowskich potrzykroć drogę sobie bagnetem
otwierał...

— „Toć my ci sami — twoi — bryga-
dyerze... Znasz nas!“

— „Znam... Znam...“ mówią uśmiechnięte
jasne oczy brygadiera...

Króciutka odprawa dla komendantów kom-
panii — zaczem rozkaz do kontrataku na P
w łączności z grupą pułkownika Roji.

Rozwijają się dwie kompanie 1-a i 3-cia
(2-a i 4-a postępują w rezerwie), uzyskują naka-
zany front i już idą szumiącym zbożem, któ-
rego wczas zżąć i zwieść do stodoł nie po-
zwoliły gorące dni lipcowe. Szumi za nami las
poszarpany a dokoła skarży się cicho niezżęty,
przerastający kłos.

Kładzie się kłos cicho pod twardą stopą
żołnierską — chyli się przed żołnierzem w stro-
ny obie, ukazując co głębsze brzoźdy... Tędy...
tędy...

I znagła szarpnie się coś w duszy żoł-
nierskiej... przyśni się jej pole inne: Szumiąca,
nad głowę wyrosła — sandomierska pszenica
wierna, — potrzykroć — postokroć twardą stopą
rosyjskiego piechura deptana i niszczona.

Mściwe myśli — żelazną klamrą gniewu
spięte — stają się — jak stal — zimne i jak

stal twarde... nieustępliwe... Twarda, przemę-
czona dłoń objęła mocniej karabin...

Na skraju niezżętego pola przyczajona ty-
raliera bawarów i skrzydłowe kompanie 4-go
pułku...

Zwieramy się z niemi i idziemy dalej pu-
stem rżyskiem po zboczach wzgórza...

W pewnej chwili przewinie się przed nami
jeździec na pysznym skarogniadym koniu...
Roześmiał się do niego oczy żołnierskie.

Roja... Roja...

Ramiona rozwarł — jakby obejmował niemi
w posiadanie pasiekę — front wskazując...

— „Hej chłopcy! Wziąć mi te okopy!
Nie dać się uprzedzić bawarom!.. Naprzód!“

I ruszy skokiem naprzód...

A już za nim cała linia nie idzie — a biegnie...

Byle prędzej... prędzej!..

Nie dać się uprzedzić!..

Od brzoźdy do brzoźdy... od zagonu do za-
gonu... Raz i drugi błysnęło za nami — przed
nami... Pojękła cicho ziemia... Górą świst dzi-
wny chodzi... Wiatr nie wiatr...

Jeszcze kroków sto — pięćdziesiąt... a już
przed nami dąbrowa maleńka i jasna smuga
okopów... a oto i pasieka na lewo za okopa-
mi... a od lasu chyłkiem ku sitowiu małemi
gromadkami pomyka spłoszony nieprzyjaciół...

Pada rozgłośnie — uroczyste pierwsza sal-
wa z odzyskanych okopów...

* * *

Stoję w szarym naszym okopie, patrzę na
pół smętną szachownicę i dziwię się ciszy — ja-
ka dokoła panuje...

Jest w tej ciszy sierpniowej coś z dosytu...

Jesień...

Nad głową szumi cicho poszarpana — rdzą
okryta dąbrowa... Pod nogi leżą pierwsze sze-
leszczące liście.

Tam za mną na skraju sąsiedniego lasku
krzyżów trocha wyrosło i grobów, co kiedyś
mają o walkach dzisiejszych świadczyć...

Jeno, że czas wszystko w zapomnienie po-
daje... już dzisiaj chwastem bujnie porosły...
a za dni tyle...

W polu — sierpień 1916 r.

Józef E. Szarzyński
chorąży



Modlitwa

Żeś była cała łanami pachnąca,
 Złocona słońcem, a strojna kwiatami,
 Borów zieloną gęstwiną szumiącą
 I zapatrzona modremi strugami
 W sznury żorawie, błędzące po niebie
 Tom serca ciszą słał modły do Ciebie,
 O Polsko!

Że teraz, cała zasiana grobami,
 Pod krzyże ścielesz żywoty najczystsze,
 Że świecisz światu pożarów łunami,
 A twem bogactwem — popioły i zgliszcze,
 Że w pobojowisk upadasz żałobie,
 To serca bólem modłę się ku Tobie,
 O Polsko!

Że zamiast dawnej, królewskiej purpury
 Masz płaszcz pożogi i te krwi rubiny
 Zamiast klejnotów, że w latach wichury
 W wrogich szeregach giną Twoje syny
 I dłoń ich obca w żółtym piachu grzebie,
 Serca ofiarą modłę się do Ciebie,
 O Polsko!

Że w ogniu stoją Twe miasta i sioła,
 W chrzeście oręża, kurzawie i dymie,
 Że szczęk się broni podnosi dokoła,
 Tych, którzy walczą dzisiaj w Twoje imię,
 To serca wiarą modłę się ku Tobie,
 O Polsko!

Lecz, że znów kiedyś rozbłyśniesz kwiatami,
 Ruń świeża skryje krwawych bitew ślady,
 Że znów rozpachną Twe pola zbożami,
 Że wrócą ptaków odlotnych gromady,
 I bór się szumną pieśnią rozkolebie,
 Serca nadzieją modłę się do Ciebie,
 O Polsko!

Wołyń 18.VII 1916

Rajmund Bergel
 sierżant

W pierwszą rocznicę wymarszu II-ej Brygady Legionów Polskich

Za «dawnych» czasów, przed wojną, obchodziliśmy wiele uroczystości narodowych; święciliśmy rocznicę 3-go Maja, przysięgi Kościuszki, Listopadowego i Styczniowego powstania. Dziś urządziliśmy sobie nasz własny obchód, naszą własną rocznicę: rok temu II-ga Brygada wyjeżdżała z Krakowa na pole walki.

Spędziliśmy ten dzień w gronie zamkniętem, jak święto rodzinne, bez delegatów, bez telegramów z zewnątrz, ale między swoimi, z ludźmi, którzy są nam wzajemnie bliscy, jak bracia, którzy są z sobą związani tym najszczytniejszym węzłem, jaki być może, bo braterstwem broni.

Obchód ten był prosty, ale tak miły, że ci z nas, co wojnę przeżyją, zachowają pamięć o nim na długo. Było to święto nasze, a zarazem i nasz dzień zaduszny. Rano o 9-ej zebrały się delegowane plutony z obu pułków piechoty, z naszej artylerii i obu szwadronów kawalerii na polową mszę żałobną za tych, co od nas już na zawsze odeszli. Komendant korpusu, do którego jesteśmy przydzieleni, generał K., urządził nam niespodziankę: przyjechał na nasz odcinek przed samem nabożeństwem i przywiózł wieńiec dębowy we wstęgami o barwach państwa i naszych biało-czerwonych.

Cisza była w szeregach na polance koło cmentarza, gdy msza się zaczęła. Wszak każdy z nas stracił w tej wojnie tyle drogich, bratnich serc i tylu

wspomnieniami z nami związanych istnień, iż nie dziw, że to żałobne zebranie tworzyło jedną wielką, osieroconą rodzinę. Chór szwadronów ułańskich zaintonował «Boże Ojczy», i popłynęła ta śliczna a tak bolesna pieśń w jasną, słoneczną dal. Wtórowały jej strzały placówek, a przez chwilę zmięszał jej melodyę huk bomb, rzuconych gdzieś dalej przez rosyjskiego lotnika, który, jak czarny orzeł, przeleciał nad nami.

Celebrował kapelan 2 pułku X. Antosz. Po mszy przemówił do nas krótko, jak zwykle, po żołniersku, ale mocno: «Bóg wam dotąd za ukochanie Ojczyzny pomagał, więc mówię wam jedno, walczcie dalej — z Bogiem!»

A później przeszły oddziały legionowe na pobliski cmentarz, gdzie złożono jako pierwszych Wąsowicza ułanów, a potem składano prawie dzień za dniem dalszych towarzyszy broni. Sześćdziesiąt kilka mogił wyrosło tu z czasem; jedne już trawa zieleni, drugie świeże, te z ostatniego tygodnia. Jeden grób jeszcze otwarty; dziś po południu już się i ten zappełni. Jutro krzyż mu postawią i napiszą, jak tyle razy już tutaj pisali: «Legionista*) ... z ..., zginął śmiercią bohaterską...» To cmentarz nasz, drugiej brygady.

I znów zaśpiewał chór pieśń żałobną, im, tutaj złożonym i tym wszystkim, których mogiły leżą na

*) Leg. Drabek Franc. z Rudna, III p. L. P.

polach Pasiecznej, Mołotkowa, Rafajłowej, Kirlibaby, Bortnik i Dobronowiec, i gdzieś po świecie, na cmentarzach wojennych szpitali.

Komendant korpusu wstąpił na mogiłę. Przemówił również krótko, bardzo serdecznie: «Dowiedziałem się, że dziś obchodzicie wielką uroczystość; w takim dniu chciałem być wśród was. Przez ten rok walki wzbudziście dla siebie szacunek męstwem, poświęceniem i miłością Ojczyzny. Do nieśmiertelnych czynów polskiego oręcza dodaliście nowy wieniec chwały. Jeżeli kto, to ja właśnie wam życzę i z wami tego pragnę, by te krwawe ofiary były nagrodzone i by ten wasz biały ptak herbowy mógł wesoły z góry na was spojrzeć».

Po odjeździe generała, nastąpiła dekoracja ułanów, świeżo nadanymi medalami za waleczność, a potem defilada przed pułk. Küttnerem.

W południe zebrali się wszyscy oficerowie brygady na pozycjach II-go pułku, podejmowani gościnnie przez najstarszego rangą komendanta legionowego, podpułk. Januszajtisa. Rozszerzony rów łącznikowy do rozmiarów sali, przykryty z wierzchu dębami gałęziami był miejscem zebrania. — Stu dwudziestu oficerów trzech rodzajów broni obsiadło dwa długie stoły; byli to wszystko ludzie, którzy rok temu w niższych szarżach, lub wprost bez szarży żadnej, jako szeregowcy, Kraków opuszczali. To stara gwardya żelaznej brygady.

Wtedy wyjeżdżali jako nieznani, dziś z nazwiskiem każdego z nich łączy się szereg nazw miejscowości, szereg potyczek, ataków, krwawych bitew i zwycięstw — roczne żniwo wojny. Kapitanowie Szczepan, Udałowski i Trojanowski, porucznicy Fijałkowski, Gniady, Okołowicz, Kordecki, Przepiliński (dzisiejszy solenizant), Szwarz, Czech, Zieliński, podpor. Gosiński, Krzyski, Rolecki, Grabowski, Siezek, Górka, Grotowski, Szalit, chorążowie Król, Iwanowski, Sokołowski, Byszewski, Mańkowski, Stecki, Trotzler, Pawłowski, kapelanowie: X. Antosz i X. Kwapiński, z kancelaryi sztabowej por. dr. Merwin, z brygady sanitarnej szef Leryncz, Majewski, Stefanowski, Matczyński, Gross, Piotrowski, Konopacki, referent amunicji Platowski, artysta-malarz Janowski; por. Glaser, Riedel i Hönig z przydzielonych baterii, przeznacny kap. Dunikowski i por. Sikorski z sądu polowego.

W takim gronie wesołość i humor zagościć musi swobodnie. To też brzęczał ten rów strzelecki jak rój pszczół na wyroju. Wesoły nastrój podnosiła i ta okoliczność, że szrapnele i granaty rosyjskie, zwabione ruchem na tej pozycji, zaczęły się na nią zlatywać. Gwiznął jeden w pobliżu, za nim przyszyły inne. Te chybiły, lecz chwała mogła wpaść jeden gość nieproszony przez otwarty strop z góry i wyróżnić w sam środek zebrania.

Gdy na chwilę przycichły rozmowy, zabrał głos pułkownik Küttner i na ręce gospodarza wznosił toast na pomyślność i zdrowie II-giej brygady. Po chwili przemówił młodzieńczy podpułkownik Żegota Januszajtis:

«Witam was, panowie, w to rodzinne święto! Zebraliśmy się prawie wszyscy, by dzień odjazdu z Krakowa razem tu po roku obchodzić. Z obecnych na pozycjach kilku, niestety, brać w tem zebraniu udziału nie mogło. Komendant 3-go pułku, podpułk. Minkie-

wicz, zaskoczony przejściowym atakiem serca, zjawić się chwilowo tu nie może; kilku oficerów inspekcyjnych pełnić musi w linii służbę. Są oni myślą z nami. Liczny zastęp nas tu się zebrał, ale iluż brak z tych, którzy rok temu z nami wyjeżdżali. Wielu odeszło do innych brygad legionowych, wielu zmożyły trudy wojny, lub rany otrzymane usunęły z frontu, a inni, ci najdzielniejsi, ci nam najdrożsi, ci, którzy w ofierze dla ojczyzny ponieśli największe ofiary, bo dali za nią życie, tych brak nam tutaj najwięcej. Sądzę, że wypełnię waszą myśl, jeśli kilka z tych nazwisk wspomnę»...

W okopie zrobił się ruch, oficerowie powstaniem czcili pamięć swych poległych towarzyszy. A pułkownik Januszajtis ciągnął dalej:

«W walce może najkrwawszej ze wszystkich, lecz nie mniej bohaterskiej w bitwie pod Mołotkowem zginął rotmistrz żandarmeryi Robert Kunicki. Padł na posterunku; ponieśliśmy stratę, której powetować się nie da. W bitwie pod Pasieczną ginie por. Czechowicz. Umierał z okrzykiem na ustach: «Niech żyje Polska!» A po nim odszedł szereg długi wielu, wielu innych. Nie stanie czasu, by ich wszystkich wspomnieć. Wymienię jednego, jako godnego przedstawiciela tych straconych dla nas bohaterów: rotmistrza Wąsowicza. Te trzy nazwiska zamykają w sobie długą, bolesną, ale wspaniałą historię naszych rocznych walk. Gdym wczoraj rozmyślał nad naszymi dziejami, doznałem radości i dumy. Druga brygada Legionów wypełniła program, postawiony przy jej tworzeniu rok temu: biła się dzielnie.

Przez cały ten rok nie straciliśmy ani jednego posterunku naszej obronie powierzonego, nie staliśmy się ani razu powodem do cofnięcia się z linii raz zajętej. Jeśli przyszło się cofać, to druga Brygada szła zawsze w tylny straż, chroniąc inne oddziały. Gdy przyszło iść naprzód, to szliśmy na czele. Tak było pod Nadworną, potem pod Maksymcem, Kirlibabą i nad Prutem. Nie mając wyćwiczonych żołnierzy i oficerów, stanęliśmy w rzędzie armii regularnych, dorównaliśmy męstwem innym. Braki pewne są dotąd w dyscyplinie i karności, ale przecie wciąż pracujemy dalej nad ich usuwaniem.

Na pomyślność tej dalszej pracy, na szczęśliwy drugi rok wojny, na zdrowie Drugiej Brygady, wznoszę ten toast».

Głośne wiwaty odpowiedziały tak gromko, że chyba doszły aż do placówek rosyjskich.

Pułkownik Januszajtis zaproponował następnie przez aklamację przyjętą, następujące trzy depesze: Do JE. generała Durskiego, z »wyrazami łączności ideowej ze wszystkimi oddziałami Legionów«, do pułkownika Zielińskiego, ukochanego wodza i twórcy drugiej Brygady, i do pułkownika Hallera, niezmordowanego pracownika z życzeniami, by jego stan zdrowia pozwolił mu znów niedługo stanąć na czele wierznych mu żołnierzy».

Po krótkiej przerwie mówca zabrał głos po raz drugi: «Wspomnieliśmy i cześć oddaliśmy tym, którym nam tu brak, a teraz przejdźmy do obecnych. W pierwszym rzędzie wznoszę zdrowie pułkownika Küttnera. Pod jego komendą Brygada uzyskała tak pomyślne warunki, jakich dotąd przy zmiennych stosunkach nigdy nie miała, a równocześnie uzyskala



Okopy II-cj Brygady (Rudka Miryńska)



Obóz leśny 3-go pp. przy Dworku Miryńskim



Rotm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz



Podpor. Jerzy Topór-Kisielnicki



Podpor. Roman Włodek

największe sukcesy militarne. W imieniu tu zebranych, proszę Cię, pułkowniku, byś zechciał na zawsze w pamięci zachować tę Brygadę Legionów, którą w wielkiej światowej wojnie prowadziłeś do zwycięstw».

Brygadyer odpowiedział wzruszonym głosem, że to, co wyraził w pierwszym swym rozkazie do legionistów, t.j. zrozumienie i odczucie ideałów polskich przez czas pobytu wśród nas nie zmalało, ale przeciwnie wzrosło i że życzenia jego spełnienia tych idei dalej Brygadzie towarzyszyć będą.

Kapelan Brygady X. Antosz, wznosił następnie toast na cześć szefa sztabu kap. Towarka, który, już po tym krótkim pobycie wśród nas, umiał sobie zdobyć takie zaufanie i oficerów i żołnierzy.

Ostatni z rzędu zabrał głos por. Gosiewski. Mówił poważnie a zacie. »Gdy zebraliśmy się przed miesiącem, by żegnać naszego ukochanego pułkownika Zielińskiego, powtarzały się w wygłoszonych mowach ciągle słowa: »Walczymy za honor polskiego żołnierza«. To jest pesymizm, z którym pragnąłbym się rozprawić. Zapewne za honor walczymy i ginimy; ale nie tylko za honor. Przykre koleje losu, który nam w wojnie toczącej się na ziemi polskiej, jak długa i szeroka, nie dał na niej walczyć, choć było to nam przyrzeczone, obojętność większości społeczeństwa dla naszej sprawy legionowej, brak pewności co do rezultatów naszego udziału, zrodziły ten pesymizm. Ze setki argumentów, które nas przed nim bronić powinny, wymienię tylko jeden: Każdy z nas, gdy był dzieckiem, uczył się polskości na historii trzech powstań i walk Legionów Napoleońskich. Choć wszystkie te boje nie spełniły pokładanych nadziei, jednak wychowały nas — legionowych żołnierzy. I czyż ta myśl, że jesteśmy nowem ogniwem na przyszłe pół wieku nie powinna nam wołać głośno »sursum corda«?

Jesteśmy żywą tradycją; pragnąłbym, byśmy już teraz, w czasie wojny, uzyskali tradycję pisaną. Proponuję utworzenie komisji literacko-administracyjnej, któraby się zajęła wydaniem nie księgi pamiątkowej, ale pierwszego rocznika II-giej Brygady. Do komisji tej proponuję z pułku 2-go podpułk. Januszajtisa, z 3-go podpułk. Minkiewicza, ze sztabu por. dra Merwina, z kawalerii chor. Rostworowskiego, z artylerii nie mogę nikogo proponować, bo to moja broń. Proponuję dalej, by wydać pamiątkową plakietę dla wszystkich legionistów drugiej Brygady i to bez względu na to, kiedy do nas przybyli!»

Wnioski przyjęte również przez aklamację.

Po mowach zapanował prawdziwie ułański nastrój: śpiewy, muzyka i toasty mieszały się znów z echami wystrzałów artylerii rosyjskiej. Te ostatnie zgniewały por. Glasera, przydzielonego do nas komendanta baterii c. k. armii, i z polskim, właściwym mu temperamentem, posłał rozkaz do swych armat. Za chwilę dwie salwy gruchnęły nad okopem i zdziwiły Moskali tak dalece, że strzelać zaprzestali.

Tak po żołniersku, na pozycjach, święciliśmy dzień wyjazdu z Krakowa.

Wieczorne zebranie w oficerskiej menaży sztabu Brygady, na które przybył również podpułk. Minkiewicz, choć nie zupełnie jeszcze zdrów, zamieniło się na zaimprovizowany wieczór muzyczny. Orkiestra cygańsko-chorwacka cięła od ucha czardasza, chór na prędko złożony śpiewał pieśni, a amatorzy-muzycy popisywali się solowemi partyami.

Późno już było, gdy ostatni oficer wracał w lśniąca księżycową noc na pozycję.

Z za góry to tu—to tam padały strzały placówek.

*St. Rostworowski
podpor. II p. ułanów*

Pamięci przyjaciela

Był to trzeci dzień sierpnia 1916 r.
Staliśmy znowu w rezerwie.

Po przebyciu niezliczonych marszów dniem i nocą, przemierzwszy sporo połaci wołyńskiego piachu w przeróżnych kierunkach, pułk 3-ci stanął znowu w lesie nieopodal pozycji, obsadzonych siłami legionowemi, by chwilę wypocząć, zanim mu nowe zadanie przypadnie w udziale.

Złożono na chwilę objuczenie piechura, rozbito namioty. Wypoczywano całą młodą piersią. Od świtu trwające huk i działy rosyjskich kazały wypoczywać gorączkowo, bez upajania się snem lub smutnymi widokami Polesia.

Trzeba było być na wszystko przygotowanym.

Rychło pociski rosyjskie zaczęły ryc piasek nieopodal naszego obozu i aczkolwiek nie mierzone do pewnego celu—zbliżały się za każdym strzałem. Można było przewidzieć atak Moskali, ile że ogień artylerii przeniósł na tyły, gdzie mogły być nasze rezerwy.

Niedługo trzeba było czekać.

Obiad spożyliśmy w spokoju, lecz zaledwie z tem się uporano, już doszedł nas rozkaz alarmu. W mgnieniu oka stanął pułk gotowy do odmarszu.

Niebawem też odmaszerowano różnemi drogami, ze względu na ogień artylerii nieprzyjacielskiej. I tylko sprytowi i doświadczeniu prowadzących oddziały, intuicyi żołnierzy lub zgoła przypadkowi zawdzięczać można, że już w czasie marszu nie mieliśmy strat. Bardzo często w miejsce, które opuściliśmy lub zręcznym manewrem obeszlśmy, padały ciężkie granaty i w braku istot żywych—mściły się niemiłosiernie na ziemi i drzewach...

Szliśmy tak w milczeniu, a cel marszu był już niedaleki. Wreszcie się zatrzymano, bataliony otrzymały rozkazy.

Oddział telefoniczny miał wiele biegania, lecz żadnego prawie połączenia nie można było budować na stałe, poszczególne bowiem komendy nie miały pewnego miejsca.

Ograniczono się do połączeń z komendami głównymi. Cała zaś robota, jaką trzeba było włożyć w wybudowanie i uporządkowanie sieci telefonicznej czekała na dzień następny.

Bataliony spełniły swe zadanie z brawurą, obsadziły przednie okopy, w których częściowo gościli już Moskale. Huki dział i grzechot karabinów poczęły słabnąć. Zapadł zmrok, przerywany jeno gęsto jaskrawymi łukami rakiet.

Nam przypadło miejsce przy komendzie 4-go pp.

Każdy z nas przemęczony patrzył, gdzieby się mógł położyć.

Za chwilę można było widzieć przytulonych pod krzewem, przypadłych do piasku w wykopie, chroniących się pod kawałkiem papy... Tymczasem wiatr się rozhulał po poleskiej równinie, szumiał w gałęziach przyziemnych krzewów, gładził rozkwitłe wrzosi i strudzone czoła żołnierzy — tułaczów, tulił ich do snu...

Zbudził nas nie alarm, nie łomot dział, lecz niemiłosierny, zimnem przejmujący deszcz. Kto się miał gdzie schronić lub kogo zmogło zmęczenie, zasypiał na nowo. Inni błędzili wśród cieni nocy, wśród wichru i de-

W rezerwie 9/9-916

szczu. Do tych ostatnich należałem ja i Leon Michalik. Kiedy już świtać zaczęło, zagadnąłem go:

— Co dalej będzie?

— Najprawdopodobniej zostaniemy tu, dopóki coś ważnego się nie wydarzy.

— A co będzie z nami?

Nie wiem. — Chciałbym tylko jeszcze raz jeden zajrzeć do domu, jeszcze raz wszystkich zobaczyć i pożegnać, — a potem niech się, co chce, dzieje.

Dość skromne miał pragnienie, które było jego pragnieniem ostatnim. Gdy bowiem nadeszło popołudnie ciepłe i jasne, Leon wybrał się z patrolem telefonicznym, aby zwinąć niepotrzebne połączenie. Poszedł spokojnie, wesoło: wszak nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo tam, za komendą pułku?

Z trzysta kroków ująć mogli, gdy szczęknięły rysyjskie armatki, a powietrze przeszył świst przeraźliwy i chichot pękających szrapneli. Kule posypały się błędnie gdzieś po trawie i krzewach, tam właśnie, kędy szedł patrol. Gdy dobiegłem, Leon leżał na ziemi. Gorące rubinowe krople krwi padły na ciepły polski piach, który je chciwie wypił, a głowę rannego serdecznie przytulił... Na drugi dzień ukrył go w swem łonie na zawsze.

*Antoni Szafran
legionista*

Krzyż Tarkowskiego

(opowieść obozowa)

W smutny las wołyński weszło kilku żołnierzy z siekierami i piłą... Szli wolno, rozglądając się po drzewach...

A drzewa były różne... Pobok rozrosłej sośniny świerczek młody strzelał ku górze — tam i sam sośna drobna, karłowata wszczepiła się chorobliwym korzeniem w bagnistą kępę — tu i owdzie białą korą świeciła brzoza, z obwisłą smętnie gałęzią...

Długo chodzili żołnierze i szukali czegoś... Raz wraz pokrzykiwał któryś, wskazując drzewo:

— »Jest!«

Aliści reszta żołnierzy podchodziła, oglądała uważnie drzewo, — głową kiwała i odchodziła w las. Wreszcie znaleźli...

Był to sośniak dziwnej urody... Smukły, wysoki bez sęków i gałęzi prawie... Szedł ku górze prościuchno... Przy samym szczycie miał jeno kilka gałązek.

Stanęli przy nim żołnierze — rozejrzeli się dobrze. Aż im się oczy zaśmiały...

— »Ten będzie dobry... Tnij!«...

— »Szkoda! Za duży!« — zauważył któryś.

— »Co szkoda! Nie dla byle kogo go bierzem! Nie masz tu drzewa w całym borze — ba, na całej ziemi naszej, którego by było szkoda... Widzisz go — szkoda!«...

— »Za duży!«...

— »Nie za duży... W sam raz... Juści — krzyż musi być wielki — na schwał... Sześć metrów!«...

— »Tnij!«

Zaskrzeczała piła raz — drugi... Zadygotał sośniak poleski...

— »Krzyż musi być na schwał... Sześć metrów — ani krzynki mniejszy!... — pogaduje żołnierz — szarża wielka to i krzyż wielki być musi«...

— »A ty nie myśl, że mi tego sośniaka szkoda... Ot! źle się powiedziało, bo chciałby człowiek najładniejsze drzewo znaleźć«...

— »To piękne — ani słowa — i krzyż będzie — jak się patrzy«...

Poszły siekiery w ruch... Każdy żołnierz kolejno bije... Idzie po lesie echo cudnie... Łup! łup!

Aż się zwałił ciężko sośniak na ziemię... Jęknął głucho...

Teraz dopiero widać było co za sośniak... Mógł mieć ze siedem metrów...

— »Skocz no który do porucznika — żeby konie dał... Nie uniesiem«...

— »Poradź... Nie trzeba... Sami zaniesiem — a nie damy rady — to przyjdą inni i pomogą... Żołnierskie go siły muszą znieść«...

— »Dobrze mówię... Żołnierskie ręce... Skocz który po wiarę«...

Zbiegła się żołnierzy garść... Jeno gałęzie pięknie siekierą ociosali — a już rąk ze trzydzieści goły pień objęło i dzwignęło na ramion piętnaście.

Tak go ponieśli do obozu i zwalili przy ognisku. Zeszła się żołnierzy gromada...

Oglądają sośniaka... dziwują się... chwalą...

— »Piękna sztuka«...

— »Piękny krzyż będzie«...

— »Kapitański«...

— »A przyłóż że się, — wiaro — ktoś radzi — Krzyż musi być piękny... Dla swojego to człowieka«...

— »To się wie... Musi być piękny«...

— »Każdy rad pomoże«...

— »Jużta rąk nie zbraknie«...

— »Cieśle niech robią«...

— »Tak... tak... Musi być piękny«...

* * *

Raźno szła robota... Ręk nie brakło... Ba—każdy coś chciał zrobić—pomódz... Aż cieśle musieli się opędać...

— »Odejdź! popsujesz jeno«...

— »Co zaś mam popsuć... Raz tylko dziubnę... Niech i moja tu będzie robota«...

I tak krzyż rósł... Pięknie sośniak ociosano — kanty wygładzono... Proporcje wymierzono... Poprzeczki z zakończeniami porobiono...

Miał metrów sześć długości...

Leżał krzyż już gotowy na ziemi... Pobok przy ognisku gwarzyli żołnierze...

— »Żal — żal! — mruczał któryś... To był człowiek nasz!«...

— »Dolę żołnierską znał i nędzę... Sprawiedliwie na rzeczy patrzył... Żołnierza nie pokrzywdził... Miał dla niego zawsze zrozumienie i słowo«...

— »Krzyż mu teraz wiara stawia... Grób mu tam w piachu wykopali... Do Polski szedł — ano na Jej granicy legł — a grób Jego to będzie jak kopiec«...

— »Dobrze mówi — jak kopiec... Takie to kopce granice Polski wyznaczają«...

— Będą to potem ludzie różni do tych grobów przychodzić«...

— »Ej — żeby to tak można — panowie wiara — na takiej tabliczce wszystko dokumentnie spisać, by zasię nic w niepamięć nie poszło... Jak — co i gdzie. Żeby tak wszystko... wszystko«...

— »Jak to kawałkiem chleba twardego w górach z żołnierzem się łamał... Jak to prawić do nas czasami... He?«...

— »Jak to panowie wiara — w zimie... Pamiętacie... Postój w górach... Luty — mróz — ziąb — zawierucha... Jedna chałupa — to w niej sztab austriacki został... A wiara przy ognisku... Przyszli ci do niego — niby naszego kapitana — oficerzy i mówią, żeby szedł do chałupy... Przyszedł nawet sam major... A nasz kapitan podziękował... Nie — mówi — ja z żołnierzami«...

— »Jak to gorączka go żarła — febra nim trzęsła — a szedł z nami do bitwy pod Porohami«...

W polu — w grudniu 1915

— »A teraz... He... W linii caluśki czas szedł... Taki on był«...

Urwała się na chwilę gawęda, bo już poza tem wspomnieniem ostatnim stała śmierć i grób w szczerym piachu wyrity... Tedy ten i ów pochylił głowę i zapatrzył się w płonące drwa... Aż któryś po chwili jął mówić powoli:

— »Ano — różne są krzyże — i krzyż krzyżowi nie równy... Są krzyże maluśkie — pochylone ku ziemi, właśnie jako ten kwiat, gdy go zamróz wiesną chwyci... I to są krzyże żałobne... Przed takim krzyżem klęknij jeden z drugim i módl się... A są krzyże inne jeszcze — co w polu szczerem stoją — albo na rozdrożu — albo pod drzewem szumiącym... I to są krzyże samotne... Nikt ta do nich modlić się nie idzie, — a mijając, każdy jeno czapę z głowy zdejmie — znak krzyża świętego robi i idzie se dalej... A są jeszcze krzyże inne... Krzyże chwały... Do tych to krzyży gromady idą — by życia mądrości się uczyć — by siłę z nich a moc w dusze smutne brać... W jasności są takie krzyże ogromnej... Wielkie to są krzyże, bo je nie jeden człowiek — a garść ogromna ludzi — niby pokolenie całe — na grobie najlepszych z pośród siebie stawia... Taki to krzyż będzie naszego kapitana... Wielki być musi — bo musi stać zawsze w słońcu, chociaż dołem mgła chodzi, by zasie ludzie słabi, co po moc tu iść będą, śmiało szli i zbłądzić nie mogli... Takie to są krzyże trojaki i taki to jest krzyż kapitański Tarkowskiego«...

* * *

Wzięli o świcie krzyż nowy na ramiona i ponieśli na cmentarz Wołczecki, gdzie pod szumiącymi sosnami grób kapitański stoi... Tam go w ziemię do brze, głęboko wkopali... Zdrowasiek kilka zmówili...

Wracają do obozu...

Jeszcze z góry obejrżeli się...

— »Dobrze — mówi jeden... Widać z daleka... Nie pobłądzą ludzie, co tu po nas do grobu tego przyjdą. Teraz to już pamięć o naszym kapitanie nie zaginie«...

Józef E. Szarzyński

Rycerze idą...

Mym pierwszym 74 żołnierzom — kolegom „szwajcarskiego“ plutonu

Rycerze idą... Świtem... Niebo w kolorowe
Uwite chmury, jak w słonecznych ptaków puchy,
Bładym refleksem ogni wojsk mundury płowe;
Twarze w słońcu spalone — rytmiczne, jak duchy,
Idą przez mgławice pola, tkanie opalowe;
Bez pamiętni na losy, na żywot tak kruchy...
Nic nie wstrzyma ich z drogi — w dal uchodzą siną...
I jak przyszli nieznani — bez pamięci giną!...

Rycerze, co w złociste wyczekują ranki,
Gdy pobudka bojowa wyrwie z domu matki,
Do piersi nie pozwoli przytulić kochanki; —
Jeno ich łzami rosy żegnają te bratki,

Nad Stochodem, 31 sierpnia 1916

Co się przy drodze sieją; maków krwawe wianki
Długo się kłonią ku nim; malwy smutne chatki
Tulą w koronki krase, a białe ościeże,
Smutnie patrzą w pola: — hej! wróćcie rycerze!

Idą w zadumie w jasne księżycowe noce...
Drogi im cudnie stroją brzóz wonne rozploty...
Tulące, zda się; — sztandar w przedzie nie trzepoce,
A tacy dumni! Mnogie przechodzą w noc roty.
Ducha niewoli długiej wydały ich moce,
By życie zbudzić przez krew — żołnierskiej są cnoty.
A choć zostaną groby i krzyży zbutwiałość —
W sercach żyć będzie: Polska, niepodległość, całość!

Zenon P — Bosak
ppor. I p.

Cmentarz w lasku polskim

Po dwutygodniowych walkach pod Kościuchnowką, 14 listopada zajął pułk 3-ci pozycje stałe. Zaczęła się długa, monotonna walka pozycyjna. Praca w okopach, praca mozolna i trudna, w bagnach i trzęsawiskach, umacnianie przyczółka mostowego na Garbachu, a czuwanie w nocy, bo nieprzyjaciół był blisko — oto tryb życia żołnierza.

Walka pozycyjna nie obyła się bez ofiar. Odpadali z szeregów chorzy i ranni, często zabici. Dla tych ostatnich powstał cmentarz.

Wśród wysokopiennych, rozłożystych sosen, na dużej polance w lasku polskim, lasem Minkiewicza zwanym, obrano miejsce dla tych, co z szeregów odchodzili na zawsze. Tam w lasku była komenda pułku, były stanowiska rezerw, więc i tych nam drogich, chciano mieć blisko przy sobie. Cmentarz ten powstał w styczniu. W pierwszej mogile spoczął s. p. Jaremski, odtąd nie było tygodnia, by nie wyrosła na cmentarzu mogiła nowa, nie wyrósł nowy, biały krzyż. Ofiar najwięcej dostarczył przyczółek.

W środku cmentarza stała kaplica, poświęcona Królowej Korony Polskiej i pamięci naszych poległych. Dwadzieścia jeden mogił otoczyły wieńcem kaplicę. Na cmentarzyk ten i do kaplicy zaglądał często żołnierz nasz. Miał tam kolegów, przyjaciół, których serce kazało odwiedzić, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej mówił za nich pacierz. Do kaplicy tej spieszył żołnierz na codzienną prawie Mszę Św., by w ciszy za drogiego swego i siebie się modlić, w kaplicy tej rachował się z sumieniem swoim, umacniał Komunią Św. W kaplicy tej odbywały się nabożeństwa nasze niedzielne i świąteczne, naszych i sąsiadujących oddziałów niemieckich i węgierskich. 31 kwietnia zmienił nas pułk 5-ty. Przechodząc mimo raz ostatni, oddziały nasze żegnały długim spojrzeniem i odkryciem głowy cmentarz ten i mogiły, które zostawiały po sobie.

Dnia 5 lipca w huraganowym ogniu nieprzyjacielskim padła kaplica, wiele grobów uległo zniszczeniu.

*Ks. Wiktor Kwapiński
kapelan 3 pułku Legionów*

DZIEŃ ZADUSZNY

(Gałuzia 1915)

Zwykłe, wiejskie cmentarzysko. Mogił kilkanaście, zielskiem porośniętych i krytych igliwem smukłych sosen, przęgających się wyniosłe obok zgrzybiałych, pochylonych krzyży. Wokoło las, na wydmach rozrzucony piaszczystych, przed nami zieleń bagnistych łąk i ponad tem wszystkiem szare, jesienne niebo.

Ścieliśmy upatrzoną brzoźkę i, w dwa skrzyżowawszy ramiona, wkopali na cmentarzysku. Wzniósł się lśniący białą korą krzyż — znak pamięci o tych, co ubyli z naszych szeregów na zawsze... Był to — dzień zaduszny.

A gdy zmrok zapadł, zaczęły na cmentarz wpełzać czarne węże kolumn. Ustawił się pułk kompaniami wokoło mogił. Miast tradycyjnych świec zapaliliśmy na grobach stosy suchych gałęzi. Uderzył w górę krwawy żar, zarumieniły się twarze czerwonym odbłaskiem płomieni. Kapitan Tarkowski jał mówić.

Słuchaliśmy Go w skupieniu. I w miarę Jego słów przeżywalismy na nowo i zawiedzione nadzieje pierwszych dni uniesień, i klęskę Mołotkowa, i szereg ciężkich walk późniejszych, po raz wtóry traciliśmy poległych towarzyszy broni i uświadamiali konieczność tej wielkiej ofiary z krwi. W miarę Jego słów kreślił się nam chlubną wstęgą bohaterstwa znojnny, ofiarny szlak Legionów, po kresach Polski mogiłami znaczone. Kapitan mówił prosto, z serca. Cisza panowała wokół uroczysta. W ogniskach trzaskały dogasające głównie. Pomiędzy cieniami drzew rysował się krzyż

brzozowy, skromny pomnik ku pamięci poległych, symbol ofiarnego poświęcenia.

Przenikał w głębie naszych dusz cichy, poważny, ze wzruszenia drżący głos kapitana, wspominającego entuzjazm zarania Legionów. Rosła otucha i chęć walki ze zniechęceniem. A gdy kapitan zakończył słowa poety

»kto zwycięży, wolnym będzie,
a kto padnie — wolnym już«

cisza głęboka zaległa. Ręce silniej ujęły bagnet u boku, myśli jeły ślubować wytrwanie. Ognie gasły, mrok owładwał przestrzenią. Padły słowa komendy, ruszyła kolumna do wsi — poważna, milcząca, uroczysta...

Gdy w dni kilka szedł pułk trzeci zdobywać wzgórce pod Kościuchnowką, poprowadził swój pierwszy batalion kapitan Tarkowski. Krew żołnierza polskiego zrosiła piaski poleskie obficie, przybyło — mogił. Ukochany komendant śmierć znalazł na polu chwały, a z nim i liczni, godni wodza podkomendni. Porucznik Łysek i podchorąży Lejczak, adjutant chorąży Majewski składają swe młode życie Polsce w ofierze — i długi szereg innych, co bezimiennie historię tworzą ostatniej — miejmy nadzieję — walki o niepodległość. Zginęli walecznie w szary, mglisty poranek listopadowy; tym, co zostali, w testamencie przekazując święte wskazanie: umrzeć, lub zwyciężyć!

*Julian Kulski
chorąży*

W o d w r o c i e

Wspomnienie z bitwy Bohorodczańskiej, październik 1914

I opierając się na broni
i upadając z krwawych ran,
szli przez skoszony śmiercią łąn —
a śmierć za nimi trop w trop goni...

Usta im pali krwi spiekota —
nad nimi słońca biały skwar...
Podobnych ceniom błędnych mar
bezdonna gnała w dal tęsknota...

Żegnali sine braci zwłoki —
Siedmiu ich jeno szczenił los! —
Więc szli w oparach krwawych ros
powrotną drogą w świat szeroki...

I opierając się na broni,
krwią naznaczyli drogi szmat...
A śmierć za nimi — w sześćset koni —
wciąż woła: «nie ujdiesz ty brat!»

Już upadając z krwawych ran
wołali jękiem śmierci bladej,
aby dążyła rychlej w ślady
przez zaścielony braćmi łąn...

Lecz śmierć — powolnym, trwożnym krokiem
wciąż chytrze skrada się jak tchórz —
i jeno skrycie ostrzy nóż,
nie śmiejąc w twarz im spojrzeć wzrokiem!..

Aż opierając się na broni
rzucili za się hardy wzrok:
już śmierć za nimi — tuż o krok —
polami idzie w sześćset koni!..

Więc widząc, jak się ciżbą tłoczy,
podnieśli broń — i tłumiąc ból,
plunęli śmierci w gardę w oczy
ostatnich śliną kull!..

Legionowo, w maju 1916.

Józef Mączka
chorąży

JASEŁKA W OKOPACH

Poczęli od krakowskiej szopki, a doprowadzili do «Jasełek»; poczęli od figurynek na scenie, urządzonej ze skrzynki amunicyjnej, od wycinanek z kolorowego papieru od przyspiewów w noc wigilijną, gdy ich trzech, relutonów co się patrzy, przebrało się: jeden za króla z cynfoliową naszywką na śniegowym płaszczu i tekturową, białą koroną i podoficerskiem porte-épée przy długim szablisku; drugi zaś na czarnego kędzierzawego żyda; a trzeci za kłapiącego dwoma deszczułkami, gdyby paszcza, zwierza (ino, że się tu nikt potwora nie bał i żaden rozkoszny dzieciak nie tulił za spódnicę mamy, nawpół ciekaw i nawpół zjawą niezwykłą przerażony...). A czwarty nosił na długim palu wielobarwną latarnię i obracał nią, gdyby gwiazdą... Zaś jako asysta szli dwaj relutoni; jeden przygrywał na ręcznej harmonii i z mieszka instrumentu wydobywał przeciągłe pienia kolend i skoczne rzeżkie tony marszów; drugi zaś służył do «szczególnych poruczeń»: zbierał traktament, rozdzielał między towarzyszy wódeczność et caetera, odpierał gapiów, robił mistrza ceremonii, nosił na ramieniu szopkę od schronu do schronu, od kwatery do kwatery.

I dobrze się działo garści relutonów, bo szopka okrążyła pozycje i w noc wigilijną i w noc sylwestrową i w Trzech Króli. I przybywało wciąż przyspiewów aktualnych i mnożyły się alokucje i znalazły się dowcipne odpowiedzi na przycinki widzów i ucieszne intermezza i stosowne, a pełne wrażenia opuszczenie kwatery i wiele awanturek, pociach i figli.

Aż z szopki powstało — theatrum. Zupełnie jak w zamierzchłej przeszłości, jak w naturalnym roz-

woju teatru z przedstawień wigilijnych i wielkanocnych, z prymitywnych urządzeń, z pobożnej, a jowialnej improwizacji. Z szopki figurynek papierowych powstały «Jasełka», odegrane przez ludzi, z zabawy utworzyło się «theatrum», powstała scena, wykwił czar «sui generis» kinkietów, przebiegał po wykonawcach dreszczyk dramatycznej «katarsis» przez wcielenie chwil Bożego Narodzenia i hołdu Mu składanego przez — żołnierzyka polskiego.

Powstało «Betlejem polskie...» Powstało na linii, na pozycjach, na rubieżach etnograficznej Polski; zadzierzgnęła się «unio mystica» między szczytowymi punktami wieszczego natchnienia Mickiewicza o Polsce na krzyżu a rzeczywistością, a walką z odwiecznym wrogiem, a narodzinami nowych wartości, a powstaniem nowej generacji...

Ani sami w swej pobożnej naiwności nie wiedzieliście, żołnierzykowie mili, w ziemiance tworząc «Betlejem polskie», wśród dolatujących ech ostrzeliwujących się placówek, wyczarowując wizję stajenki i Matki Boskiej i pokłon Królów i pastuszków — ani sami nie wiedzieliście, w jak głębokie pokłady duszy zbiorowej sięgacie, jak głębokie symbole ujawniacie...

* * *

Jeden ze schronów batalionowych służyć miał za «teatr polowy». Zbudowali go legionieści bardzo przemyślnie: wykopali dłuższe i szersze niż zwykle wydrążenie, otoczyli palisadą belek, ułożyli belkowanie płasko, jako dach, nanieśli mchu i wrzosu dla uszczelnienia ścian i belkowania — gmach teatralny

gotów. Pozostało: «interieur». Lecz i to z największą łatwością dało się skutecznie. Stare wory i płachty wozowe, stare namioty — użyte zostały dla przegrodzenia widowni kurtyną; choiłą obstawiona scena musiała stwarzać tyle iluzji, ile jej każdy z widzów z sobą w duszy przynosił; zaś czyż mało drzew jest w borze na rzędy ławek w widowni?

Zbiera się najszacowniejsza publiczność, jaką kiedy theatrum oglądało. Więc w pierwszych rzędach pan pułkownik i korpus oficerski, a po bokach i wieńcem dokoła ścian żołnierzykowie. Hej, jak to dawno, kiedy się do teatrów chadzało... Z rodziną w niedzielę po południu, lub w przeddzień święta... W odświętnym stroju na »Kościszkę«. Hej! jak to dawno, jak dawno... Teraz, od ośmnastu miesięcy, chłopcy ci są sami aktorami największego dramatu, jaki świat zna, najgigantyczniejszego zmagania się sił...

Uderzeniem gongu «Jasełka» się poczynają... Pastuszkowie się budzą... Z poza kozucha przeziiera bluzka szara legionisty, a ten ma zawijaki zielone, a tamtemu ładownice jeszcze u pasa widoczne... Nic to! Są pastuszkami w tej chwili i mówią z niewymowną prostotą i rozkoszną nieporadnością wiersze Rydla. A potem zdała zorza i łuna wschodzi nad Betlejem i widać ręczne lampki elektryczne, pożyczone u oficerów, a przysłonione czerwonym, przezroczystym papierkiem. Nic to! Wschodzi dzień Narodzin i barwi nieboskłon i przenosi duszę setki żołnierzy polskich, cisnących się w ziemiance, na skrzydłach wyobraźni hen poza Wisłę i poza siódmą rzekę...

A potem zbierają się pastuszkowie u stóp Dziewicy... Stoi Matka u żłóbka w stajence... I biją pokłon pasterze i przesuwają się przez stajenkę Królowie i rycerze i zjawia się kosynier Kościszkowski i uczestnik powstania... Wszystko to tak, jak w typowych «Jasełkach». Ino, że tu bezpośredniość wrażeń i złuda stokroć większa. Bo tu otoczenie tak prymitywne i stajenka tak prosta, tak prawdziwa i belki tak grubo ciosane, a zapach żywicy i siana unosi się wszędy, a światło lampki tak skąpe i biednusię...

Ale wreszcie staje się coś, co drżenie wywołuje — do stajenki betlejemskiej płynie nowa zjawia i ko-

rzy się i pokłon bije... Siedzimy na ławach schronu w ciemności otuleni i serce bije, jak młotem i najzahartowańsi oficerowie drżą... Do stajenki betlejemskiej wchodzi — legionista...

Szary na nim mundurek i poważna, wąska twarzyczka; pasek żołnierski i ładownice u boku, a na kwadratowej czapeczce migoce w świetle lampki jasno — szary orzełek... Staje legionista u żłóbka i poważnym prawi głosem:

«Panie niebieskiego dworu!
Pod naszym brygadyerem
Z bronią w garści twardo stoję,
Bronię polskiego honoru,
Jak tej ojczyzny co zmarła.
Twoim jestem żołnierzem
Tak nam daj, niechaj odbierzem,
Co nam obca moc wydarła».

...i składa swój karabin w głębokim pokłonie i hołdzie u stóp żłóbka...

W tej chwili jakby snop światła padł w mroki widowni tego jedynego theatrum, jakby nagły błysk i oświecenie i jasność w mózgu, sercu, duszy... Wszyscy w tej chwili czujemy.

Oto legionista przechodzi do historii, oto stał się stałą, niczem niezniszczalną postacią w dziejach tego świata i tego narodu, oto sam się ustosunkował do ewolucyjnej idei, zapoczątkowanej nowożytnymi dziejami, oto już więcej, gdy sięgać będziecie myślą, przez cały rozwój nowożytnego świata, od pokłonu Trzech Króli w stajence po przez Piasty i Jagiellony, poprzez kosynierzy Kościszkowski i sybirskie męczenniki powstań — zjawi się i legionista...

Wszyscy w tej chwili odczuliśmy: oto narodziny historycznej postaci...

Zebrał się widzowie na »Jasełka«, na przedstawienie tej chwili, w której nowy świat, nowe dzieje się narodziły — a oto byli świadkami narodzin nowej, a mocnej, nowej, a chlubnej w dziejach postaci, przejścia w dzieje, w trwałą stan posiadania historii — legionisty.

«Jasełek» już w Polsce bez niego nie będzie.

Bertold Merwin
porucznik

Wołczek, w lutym 1916.

Wspomnienia na tle rymów

— Przeszłość, to fundament przyszłości, a zarazem dla nas archiwum niewyczerpane wspomnień, to co, mamy najdroższego, co w spuściznie innym zostawićbyśmy pragnęli...

— Jeśli chcemy pobujać w krainie pragnień i nadziei, w krainie wymarzonego jutra ojczyzny, to wstępujemy pamięcią na złodowiska szczyty Karpat, gorącym tchnieniem zapalę rozwiewamy kłębiące się czarne obłoki i jak Mojżesz, patrzymy na naszą ziemię obiecaną.

Ach, sny dawne, sny dzieci, co z łona matek wysłały ideje wolności, sny chłopców, co już zaczęli pracować dla nich realnie w skaucie, młodzieży, co skupiała się w organizacjach wojskowych, a wreszcie chwyciła za oręż. Sny te choć w powolnym tempie, lecz sprawdzają się. — Sprawdzają stopniowo, jak wróżby Błogosławionego Andrzeja Boboli i Wernyhory, jak te pierwsze i dlatego nigdy niezapomniane sny nasze w szczeku oręża.

— Oto próbka dawnych marzeń, co w słowną ujęte zostały szatę w grudniu 1914 r.

— «Mój Pułkowniku! Tu lody i góry,
a chociaż piękne w śnieżno-białym kasku
i czasem pełne słonecznego blasku,
to jednak dla nas to więzienne mury!» —

— «Po latach tylu trudów i niedoli
Z orężem w ręku wyszliśmy na wroga,
już nam otwartą była zwycięstw droga,
a teraz, teraz myśmy w gór niewoli...»

— «Duch, co by w słońcu leciał po równinie
po naszych ziemiach, kędy Wisła płynie,
gdzie Częstochowskiej obraz naszej słynie,
kostnieje zwolna w tej smutnej krainie...»

— «Myśmy szli naprzód i Tyś szedł na czele.
Trup bratni nigdy nie sprawił nam lęku.
Umrzeć gotowi byliśmy bez jęku,
lecz takie smutne groby przy kościele...»

— «Ach, jamz krainy, co ma mogił wianki,
mogił wyniosłych, mogił pola chwały,
z których się patrzy w kraj ten piękny cały,
co te mogiły kocha jak kochanki...»

— I długi szereg, żywych nie zastrasza
i wiatr ten rzewny, co nad niemi płacze,
i sokół, który nad niemi zakracze,
bo w tych mogiłach leży przeszłość nasza.»

— Leżą rycerze orężni i dzielni:
husarskie druhy i konfederaty,
stalowe mając i z purpury szaty;
leżą mocarni, wielcy, nieśmiertelni!» —

— «I patrzę na te maleńkie mogiły,
Smutne, stulone, z krzyżami z brzeziny...
Na ten kościółek, las za niemi siny...
Widzę w nich smutek, nie widzę w nich siły» —

— «To siew wolności, co ma nam dać plony,
to ziarno krwawe wolnego narodu,
co sam z lat tylu pragnie powstać grobu.
Lecz czy tem ziarnem powschodzą zagony?» —

— «Może wśród dziwnej, co nas pędzi doli:
ruszym z niewoli gór w Pińskie równiny,
ruszymy, jako wiosenne lawiny,
spełnić te wróżby Andrzeja Boboli...»

— «Mówisz, że nowe słońce nam zaświeci,
kiedy w pokoju pług weźmiemy w ręce
i już przy nowej, radosnej piosence
dla matki własnej zaczniemy orać, dzieci...»

— «Ach, gdyby losów zdarło się zasłony,
spojrzało okiem wieszczem w przyszłe lata:
na obraz nowych jakichś dziejów świata,
lśniące Jagiełłów i Piastów korony.»

— «I gdyby z ręką na sercu tak szczerze
jak Apostoły szło się do narodu,
stopić zapałem pancerz zwątpień z lodu,
wołając wierzcie, bo ja sam już wierzę!» —

— «Dziś my nie wiemy, czy po latach wielu
przejdziemy w pamięć pokoleń i w dzieje,
czy kiedy prochy nasze wiatr rozwieje,
wspomną, że z bronią chcieliśmy dojść celu...»

— «Że w tych mundurach szarych, jak ze stali,
choć nie naszych, polskie serce biło,
że się niejedną boleść w nich przeżyło
i życie chciało położyć na szali...»

— «Ach, żeby kiedyś wnukom babcia biała,
rozpamiętując młodych latek gody,
o tych rycerzach bąbała swobody,
którym niejedną i łezkę wylała...»

— «A potem, kraju wspomniawszy już blizny
Z promykem w oku rzekła: zwyciężyli!
Niewielu z owych, co wyszli wrócili,
ale wrócili do wolnej ojczyzny!» —

— «I żeby dzieci złożyły rączęta
dobremu Bogu, dziękując, co w niebie,
za ojca, matkę i babcię, za siebie,
że wszystkim zerwał przeszło stu lat pęta.»

— «Potem zwycięzców wspomniawszy mogiły,
zmówili za ich duszyczki pacierze,
żeby im miękkie było ziemi leże,
wielkie przyszłości, by się im sny śniły.» —

— «Za wodzów, szary nas ten tłum bez liku,
który marzenia wreszcie przelał w czyny,
za wszystkie wolne swej Ojczyzny syny,
za Ciebie, któryś nas wiódł, Pułkowniku!»

— Naród Polski miał ludzi, co go wiedli,
miał wodzów i rycerzy; pełną ich historia.
«Nie z soli, ni z roli, lecz z tego, co boli» wy-
rosli, ale śmierć dopiero wyniosła ich na szczy-
ty; dała nieśmiertelność. —

— Za życia mało ich znano. Kto głośnie-
j mówić potrafił i barwniej, ten ich zaćmił. —

— Oni są dla nas łącznikiem z drogą
przeszłością, tworzą teraźniejszość, sięgają my-
ślą w przyszłość....

— A zanim wyolbrzymięją w dziejach
i imiona ich dzieci powtarzać zaczną wraz
z nauką katechizmu, kochamy ich jak ludzi,
co z nami ten sam chleb czarny jedli, na tejże
sypiali słomie i szli na czele w piekle bitew. —

— Byliśmy w Kołomyi, odpoczywali, na-
bierali tchu do nowych, cięższych jeszcze
walk i przejść, i nadszedł dzień 19 marca 1915 r.
Obchodziliśmy imieniny pułkownika Józefa
Hallera i śpiewali Mu kantatę na melodyę:
«Leć pieśni leć, a leć jak grzmot...»

— «W ten wielki dzień, tak miły nam,
przyjm piosnkę naszą choć za dar,
co z serc ku Tobie bije bram
w ten wielki dzień, jak płomień, żar...
Jak płomień, żar...»

— «Nadziei, prysnąć może nieć
i siły może złamać trud,
miłości nieć się będzie wić,
choćby i przyszły mary złud!...

— «Otworzyć grób Ojczyzny swej
i wieść ją w nową ery świat,
do szczęścia wiecznie wolnej jej.
Otworzyć grób ach tylu lat...
Ach tylu lat...»

— «Do tego trzeba natchnień, sił...
Do tego trzeba nieba łask...
I byś nam długo, długo żył...
A wiodąc, w zwycięstw wiodł nas blask!»

— «Żyj więc nam, żyj, nam wierzyć chciej.
Na nowe boje zwycięstw wiedz!
Oreża Polski chwałę siej.
Żyj więc nam żyj, pęt zerwij sieć!
Pęt zerwij sieć!»

— «Tego ci życzy Legion Twój,
w tem Ci pomóżem ze wszech sił,
choć krwawy czasem będzie znój.
Abyśmy żyli, Ty nam żyj!» —

10.IX 1916.

— A potem raz, przypominam sobie, było
smutno, lecz jakoś w dumaniach błysła gwiazda
nadziei...

— «Pomnę, przed domem dęby stuwiekowe
siadły poważne, jak ojce na radzie,
zwyczajem sądy sprawując w gromadzie.
Lata siwizny mchem wieńczyły głowę.»

— «Ziemia im soki wciąż dawała nowe.
Mocarni z wichrem byli w wiecznej zwadzie,
bo konarami hen aż w gwiazd mirjadzie...
Pół niby boscy, ziemscy przez połowę.»

— «Tak, Pułkowniku, jak te drzewa stare,
wrosli tradycją my w ziemię Ojczyzny,
do blasków myśli pniemy się, idei...
Z czynów swych ojców czerpiem moc i wiarę
i ponad pyły, podnóża, szarżyznę,
patrzmy prosto w twarz: gwieździe nadziei...»

— Dziś mamy święcić rocznicę, rocznicę
«wspomnień» i «przeszłości», ku jej czci wzno-
szę mój dawny toast:

— «Pijem twe zdrowie z nad Renu nektary,
bo takie dole już wygnańcze nasze,
że wszystko dzisiaj, wino nawet cudze...
Lecz kiedyś wzniesiem inne pełne czary,
bo własne nasze u boku pałasze,
a te się panom należą, nie słudze!

Teodor Chmielowski

podpor. Leg. Pol.

Druga Brygada Legionów w Nagybánia

W dolinach jeszcze kołyszą się kwiaty,
Lśnią się topole zielenią,
A płaszcz już śnieżny okrywa Karpaty:
Tęczą kryształów się mienia.

* * *

Taką pieśń słał z początkiem października
z gór nagybańskich płomienny poeta węgierski:
Petöfi. A potem wyruszył na pola wolności
w ślad za «krwawą gwiazdą Ostrołęki» i padł
tam u boku ubóstwianego «Ojca Bema», który
w roku 1849 bronił skarbu Węgier: Siedmio-
grodu.

* * *

Znowu nastała jesień: październik. Na na-
gybańskie góry spłynęła leniwa mgła. Smutny
był czas, lecz i serca objął smutek. W górach
szalał z furą piekielny potwór: Kolos rosyjski

wstrząsał węgierskimi Karpatami. Hiobowe
wieści nadchodziły—jedna po drugiej—i drżenie
obejmowało duszę. Padł Halicz i Lwów, a dłu-
gie szeregi bezdomnych braci polskich płynęły
ku wielkiej nizinie węgierskiej. Nagybania,
prastare miasto, które w swych murach nieraz
gościło Królową Jadwigę, koito cierpienia uchodź-
ców i ofiarowało przytułek wielu zwątpiałym,
którzy już nie spodziewali się lepszego losu.

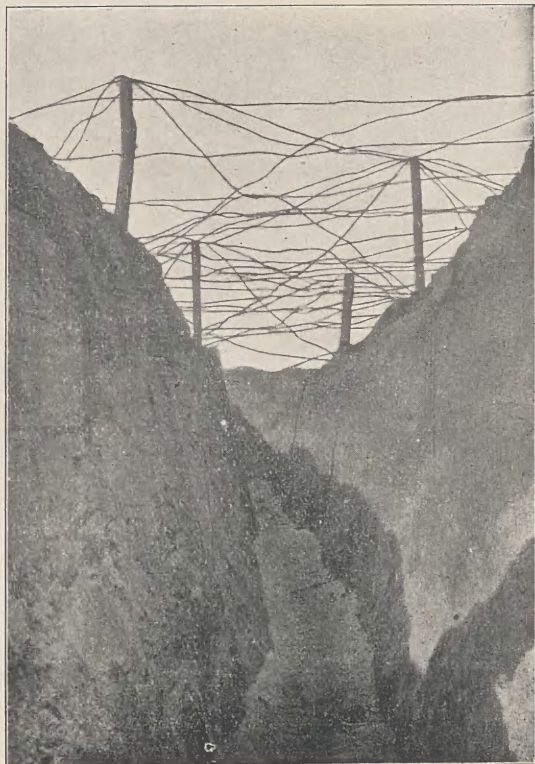
Przyszły wreszcie i inne wieści: Marama-
ros — Sziget zajęty. Prastare miasto sądziło
i spodziewało się, że tam stoi armia obrońców.
Wśród zamętu żywiło nadzieję, że spokojnym
jego ogniskom domowym nic nie grozi. Lecz
wiatr wiejący z gór przynosił straszne odgłosy:
grzmiały działa rosyjskie, a źle uzbrojone od-
działy pospolitego ruszenia cofały się bezradnie.
Nadeszła wieść najgorsza: Kozacy są już w Ka-



Kaplica i cmentarzyk w »lasku polskim«



Spowiedź w okopach pod Kostiuchnąwką



Rów łącznikowy na pozycjach nad Stochodem

pnikbanya! Niema ratunku! Niech się ratuje kto może. Z boleścią i goryczą w sercu ruszył smutny pochód ze łzami w oczach opuszczali uchodźcy swoje domostwa, sądząc, że po raz ostatni widzą starą wieżycę, wzniesioną przez Ludwika Wielkiego i Hunyadego. Spiesznie uchodzili teraz już razem polscy i węgierscy wygnańcy. Nie było nadziei.

Ku otusze pozostał tylko jeden wiekiem pochylony człowiek. Starzec, który przed pięćdziesięciu laty uszedł z ojczyzny, z Polski jako bezdomny bohater wolności. Niech przyjdzie, co ma przyjść, trzeba pochylić głowę przed zrządzeniem bożem! Ja już dawno straciłem ojczyznę i dziś nie mam już nic do stracenia.

Był wieczór, całe miasto czuwało. Nagle z uliczki wybiegł chłopiec i zwrócił się do staro polaka z okrzykiem: «Dziadku! Tu są Polacy! Przyjechali polscy Legioniści!» W jednej chwili ruszyło się całe miasto, spiesząc oglądać cud. Zapyłone lokomotywy przewiozły z oddali zastęp żołnierzy — dzieci, o młodych licach, z płomieniem w oczach. Zapanowała nieopisana radość: „Przecież to wnukowie Bema. Nie zginiemy: jesteśmy uratowani!” Tędy bowiem na prostym wozie chłopskim jechał mały, szary wódz polski, by działać cuda mieczem, by bronić Siedmiogrodu.

Każdy wynosił do pociągu młodym bohaterom, co tylko miał. Ubodzy ostatni kawałek chleba, zamożni najlepsze zapasy. Oczy polskiego starca zabłysły nowym ogniem. Przecież to są jego rodacy. Może teraz przyjść moskal, lecz niebezpieczeństwa już niema.

Z Felsöbanya ruszyli naprzód chłopcy, poszli dorzucić nowe wawrzyny do wieńca polskiej sławy, poszli bronić węgierskiej ziemi polską krwią, zasłaniać ją polską piersią. Zieliński, Januszajtis — na czele. Pod Kracsfału wzięli pierwszy chrzest ogniowy i obronili tam nie-

tylko Nagybanya, ale i całą węgierską nizinę. Tam zaczął się bój przesławny: Maramarosziget, Slatina, całe górne Węgry rozbrzmiewały zwycięską pieśnią Legionów. Zakołysały się dzwony miasta, z dziękczynnem *Te Deum* wiały ku niebu razem hymny polski i węgierski.

W popłochu uciekały wszędzie rozbite hordy kozackie, wieść o polskiej sławie biegła za nimi. Wdzięczność i radość szła wszędzie tam, gdzie zjawił się bohaterski zastęp. Zaludniła się znowu Nagybanya, uchodźcy wrócili. I dziś każdy zdejmując kapelusz mówiąc do okrytego siwizną Polaka: „Panie! Twoi rodacy zdziałali cud. Legion uratował wszystko!”

Miasto Nagybanya postanowiło, że na znak wdzięczności wzniesie pomnik w tym miejscu, gdzie na węgierskiej ziemi spoczywają pierwsi polegli Legionów Polskich. Pomnik ten będzie głosił wieczne braterstwo, które krwią swoją przypieczętowali godni bohaterskich dziadów wnukowie. Każdy z upragnieniem oczekuje chwili, kiedy wobec delegatów polskich, poświęci Biskup Bandurski ten znak wdzięczności, które żyje w naszych sercach z pamięcią bohaterskiego czynu.

* * *

Jesień była znowu: Październik. Zabłysnęły na dolinach krwawe kwiaty wśród groźnej burzy, co złamała, silne jak dęby, życia młodych polskich bohaterów. Z krwi czerwieniącej się smutną jesienią błysnął wiosenny promień w stronę Warszawy, głosząc że nadchodzi nowy, jasny świt, że powstaje polska wolność, że idzie Zmartwychwstanie.

*DR. JULIUSZ BARON SYNTINIS *)*

*) Br. Syntinis jest jednym z najgorliwszych zwolenników sprawy polskiej na Węgrzech. On zainicjował akcję komitatów Węg. za niepodległością Polski.

II-ga Brygada w opinii węgierskiej

Gdy rozpoczynała się wojna europejska, za jeden z niezbitych pewników uchodził w opinii węgierskiej antyrosyjski nastrój szerokich mas społeczeństwa polskiego. Nie liczono wprawdzie na wybuch powstania, trzeźwo oceniając sytuację Królestwa wobec armii rosyjskiej, nie oczekiwano wcale, że Polacy rzucają się odrazu w objęcia mocarstw centralnych. Realizm poli-

tyczny, przenikający każdego inteligenta węgierskiego, uczył go bowiem, że nic nie daje się za darmo. Politycy przygotowani byli z góry na objawy oportunistów ze strony polskiej, dyktowanego sytuacją, wyczekującego wyników starć orężnych. Pamiętano o tem wszystkim, ale za razem wierzono, i wierzono słusznie, że na dnie duszy polskiej żarzy się stara nienawiść do Rosyi

i że polski rozum polityczny za pierwszy warunek odrodzenia narodu uważa zerwanie wszelkich węzłów, jakimi do siebie przykuwała nas Rosya.

Nadeszły dwa pierwsze miesiące wojny. Węgry, w pierwszych chwilach tak życzliwe i tak dla sprawy polskiej przekonane, poczęły milknąć — o ile nie dochodziły z nich głosy dezoryentacyi, a nawet niechęci. Były to skutki mów dumskich i deklaracyi warszawskich oraz rozwiązania Legionu wschodniego. To, co działo się w Polsce, zaczynało wedle opinii węgierskiej przekraczać granice oportunistu politycznego, a wyglądało na szczerłość. Nie wiele brakowało, aby w węgierskich głowach sformował się wniosek, że Polacy zrzekają się aspiracyi państwowych, że ich wzrok nie sięga dalej niż do granic ciasnego koła, zakreślonego autonomicznym programem wielkoksiążących obietnic. Na szczęście do tego nie doszło. Jak w tylu wypadkach i tu uratowały sprawę Legiony.

Wysłanie II-ej Brygady Legionów na Węgry, z innych przyczyn, tak dla nas bolesne i niepożądane, odegrało dla sprawy polskiej na Węgrzech rolę rozstrzygającą. Opinia publiczna, dezoryentowana w wysokim stopniu wyżej wspomnianymi faktami, znalazła się wobec czynu, który siłą swą i ofiarnem poświęceniem przemówił do niej decydująco.

W tych samych miejscach, w których polscy legioniści Wysockiego staczali walki z armią rosyjską w r. 1849, ujrzeli Węgrzy znowu żołnierza polskiego, powstrzymującego nowy, groźniejszy może od tamtego najazd rosyjski. A działo się to w chwili, gdy w samej Polsce docierał ten najazd pod mury Krakowa.

Rozpoczęła się karpacka kampania drugiej brygady. Wyniki jej są znane. W kilka dni niemal oczyszczono cały komitat, z którego zagroził wróg sercu Węgier, wielkiej nizinie węgierskiej, wyparto Rosyan za Karpaty i obsadziwszy przełęcz, udaremniono wszelkie próby ponownego wtargnięcia. Trwała, jakby wkopana w ziemię grupa Hallera pod Rafajłową, bataliony Zielińskiego i Januszajtisa zamykały bagnetem każdą szczyrbę, jaka się otwierała na długim froncie wschodnich Karpat. Niezlomną straż trzymała u granic Węgier druga Brygada

przez długie zimowe miesiące, by z wiosną ruszyć z ziemi węgierskiej do polskiej i w zwykłym pochodzie dotrzeć do brzegów Dniestru i besarabskich stanic na Kresach Rzeczypospolitej.

Ten przebieg kampanii zjednał żołnierzowi polskiemu nie tylko na górnych Węgrzech, uratowanych bezpośrednio od zniszczenia, ale i w całym kraju wdzięczność i świetną opinię o jego bojowej wartości. Pamiętano tam, że przez przełęcz karpackie obsadzone przez drugą Brygadę, nieprzyjaciel nie zdołał uczynić ani kroku w głąb kraju, mimo zmiennych losów wojny na innych terenach. Faktem jest, że gdzie pojawiły się Legiony, tam ustawała panika wśród ludności, gotującej się do ucieczki. Widziano w nich rękojmię bezpieczeństwa. Przekonania te znalazły swój wyraz i w prasie. W czasach, kiedy w całej prasie europejskiej głucho było o Legionach polskich i kiedy o II-ej Brygadzie nawet polska prasa nie wiele się rozpisywała, łamy dzienników węgierskich pełne były artykułów o walkach, organizacyi i bohaterstwie Legionów. Brały w tem udział nie tylko dzienniki kolportażowe jak „Az Est“, „A Nap“, „Népszava“ ale i najpoważniejsze organa prasy, jak „Budapesti Hirlap“, „Az Ujság“, „Pesti Napló“, „Alkotmány“ i „Magyarország“. Legionista stał się synonimem wyborowego żołnierza.

Jednocześnie atoli spełniła tam druga Brygada inną, ważniejszą może jeszcze rolę. Krew jej, zastygła na śniegach karpackich, stała się dla całych Węgier niezłomnem świadectwem, że Polska żyje i żyć chce jako naród wolny. Przekonano się, że wnukowie grochowskich i ostrołęckich bohaterów, synowie sybirskich męczenników nie zeszli z wielkowiekowej drogi walki z Rosją, ujrzano, że pod zewnętrzną skorupą oportunistu jest w Polsce zdrowy instynkt, widzący jej przyszłość we własnej armii i we własnem państwie, że są tam ludzie, gotowi dać krew za wolność narodu. Druga Brygada postawiła na Węgrzech sprawę polską we właściwym świetle, a przyszłość niewątpliwie okaże, ile tem zaważyła na naszych losach.

Dr. Jan Dąbrowski



T R E Ś Ć

Dwa lata w boju II-ej Brygady Leg. Pol. 30-IX 1914—30-IX 1916	1
Czegośmy chcieli?	2
II-ga Brygada Legionów Polskich	3
Żołnierska modlitwa (wiersz)	4
Kronika bitew II-ej Brygady	4—6
Z dziejów organizacji II-ej Brygady	6—8
Pieśń o trzecim pułku (wiersz)	8
Pułkownik Z. Zieliński	9
Piechur (wiersz)	10
Szkoła podoficerska II-ej Brygady na froncie	10
Oddział techniczny 3-go pułku	11
Z dołu i niedołu telefonisty	12
Artyleria II-ej Brygady Legionów Polskich w Karpatach	13
Mołotków (wiersz)	13—14
Atak nocny na Rafajłową	14—16
Prysłup	16—17
Z drugiej naszej ofensywy Bukowińskiej	17—18
Łużany	18—19
Nasz pierwszy postój	19—20
Bielgów	20—23
Szare Roty (wiersz)	24
Pod Gruziatynem	24—26
Dwór opuszczony	26—28
Noc w Wielicku	28
Nad Stawokiem	30
Modlitwa (wiersz)	31
W pierwszą rocznicę wymarszu II-ej Brygady Leg. Polskich	31—33
Pamięci przyjaciela	33—34
Krzyż Tarkowskiego	34—35
Rycerze idą (wiersz)	35
Cmentarz w lasu polskim	36
Dzień zaduszny	36
W odwrócie (wiersz)	37
Jasełka w okopach	37—38
Wspomnienie na tle rymów	38—40
Druga Brygada w Nagybánja	40—41
II-ga Brygada w opinii węgierskiej	41—42

